

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 18 KWIETNIA 1931 ROKU

NR. 16.

TREŚĆ NUMERU: Ciasna teoria „Otwartych Drzwi” — *Herminja Naglerowa*. Skupienie sił — samopomoc — koleżeństwo — *Jadwiga Krawczyńska*. Poezje: „Żebracy” — *H. Januszevska*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Kryzys rodziny w polskiej beletrystyce kobiecej z roku 1930 — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Wystawa wiosenna u Baryczków — *S. P. O.* — Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Nie trzeba żądać za wiele... — *Wanda Dobrzańska*. Pawie — *A. D.* Jak uniknąć otyłości — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Bulwy — *D....a*. Kuchnia wiosenna — *Pani Elżbieta*. Tanie obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Książki nadesłane do Redakcji. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty.

CIASNA TEORIA „OTWARTYCH DRZWI”

Zagadnienia społeczne są wypadkową różnorodnych czynników i zależnie od układu sił tych czynników wyraża się ruch społeczny dośrodkowo lub odśrodkowo. Aby jednak uniknąć jednostronności w rozpatrywaniu nawet poszczególnego zagadnienia, należy przedewszystkiem zaniechać wyłącznego stosowania teorii. Teoria bywa bowiem albo za ciasna, albo zbyt obszerna, to znaczy, że w obu wypadkach nie przystaje do form życia.

Niewątpliwie, w pewnych okresach rewolucyjnych wzburzeń zbyt obszerna teoria na krótką chwilę usiłuje zapanować nad formą życiową. Ale rola teorii jest wtedy burzycielska, w istocie swej negatywna, co najwyżej realizująca się fragmentarycznie. Następną fazą jest już porewolucyjne modyfikowanie teorii, przykrawanie jej do praktycznych nakazów. Jest to niemal ustalone zjawisko, które samo przez się najdosadniej motywuje wyższość ruchu ewolucyjnego, jako uwzględniającego każdorazową potrzebę ulepszeń.

Ruch kobiecy, nawet w samych swoich początkach, nie był nigdy w ścisłym tego pojęcia znaczeniu — rewolucyjny. Stąd też poszło, że działalność jego nie była przecząca, że, burząc pewne przestarzałe zasady, odrazu wstawiał na ich miejsce pozycje realne, konstruował nową formę. Ujmując więc z perspektywy fazy feminizmu, dojdziemy do pocieszającego wniosku, że zwycięstwo przyszło kobietom stosunkowo łatwo i że ta nasza „rewolucja” miała odmienne przejawy; rzecz można, że ruch emancypacyjny kobiet wypływał logicznie z przemian, które w tym czasie zaznaczyły się w każdej dziedzinie życia. Miał bowiem ruch kobiecy za sobą zarówno argumentację nauki, jak i odmienne warunki w zdemokratyzowa-

nym ustroju państw, w odmiennej organizacji pracy, w społecznych i politycznych przeobrażeniach wieku XIX. Ruch kobiecy był więc naturalnym zjawiskiem i, jako taki, musiał się dokonać, musiał zwyciężyć.

Teraz zaś zajął on równoznaczne miejsce w kompleksie innych żywotnych zagadnień społecznych. Konieczność ulepszeń, ujawniająca się dziś w sprawach kobiecych — to rezultaty doświadczeń, a jednocześnie jest to uzgadnianie owej wspólnej pracy i wspólnych dążeń, które rzutują linię powszechnego postępu. Nie znaczy to jednak, żeby kobiety nie musiały ze szczególną bacznością strzec indywidualnych zagadnień spraw kobiecych. Idąc bowiem w kierunku dośrodkowym, w całokształcie zagadnień społecznych, rezerwują sobie kobiety pewne posunięcia odśrodkowe, jako wyłącznie własne, obronne i ochronne, jako niejednokrotnie jeszcze zdobywające.

Widzimy więc, że kobiety, nie łamiąc zasady równouprawnienia, musiały wysunąć i stale jeszcze wysuwają pewne postulaty, mające na celu obronę praw kobiety, jej wolności, jako człowieka, i zadań, poruczonych jej przez przyrodę. Właśnie to uwzględnienie odmienności, sformułowane w pierwszym rzędzie w ochronie kobiety-matki, stało się w rozwoju i rozroście zagadnień kobiecych postulatem podstawowym. Ustawodawstwo poszczególnych państw, reprezentowanych w „Międzynarodowym Biurze Pracy”, wprowadziło u siebie specjalne ochronne prawa dla kobiet, zwłaszcza dla kobiet, pracujących w instytucjach, przedsiębiorstwach, dla kobiet-robotnic. Znamy te prawa ochronne, które są naszymi istotnymi „zdobyczami społecznymi”, a które trzeba było wywalczyć i z niemałą trudnością zdobywać. Nie są one

doskonale, może zresztą nigdy nie będą zupełnie dobre, a w praktyce wywołują nawet pewną kolizję z zasadami feminizmu, który do tej chwili nie zrealizował jeszcze najważniejszego swojego postulatu: równa płaca za równą pracę.

Prawa ochronne dla kobiet pracujących są więc poniekąd przeszkodą w zrealizowaniu całkowitego równouprawnienia — mówią skrajne feministki. I te właśnie trudności w osiągnięciu równej oceny materialnej dla pracy kobiet powołały przed paru laty do życia nową międzynarodową instytucję „Otwartych Drzwi” (Open Door Council), która przeciwstawiła się zasadniczo „Międzynarodowemu Biuru Pracy”, względnie jego działalności, dotyczącej społecznych zagadnień pracującej kobiety. „Open Door” odrzuca bowiem wszystkie prawa ochronne dla kobiet, wypracowane przez „Międzynarodowe Biuro Pracy”, a odrzuca je dlatego, że ograniczają równouprawnienie. Postulaty „Otwartych Drzwi” są więc jakgdyby „czystą formą” feminizmu, oderwaną od konkretnych życiowych sprawdzianów.

Na łamach „Bluszczu” w N-rze 34 r. ub. p. Natalia Jastrzębska omówiła szczegółowo postulaty „Otwartych Drzwi”, wykazała ich plusy i minusy, ich emocjonującą i demagogiczną wagę. Nikt z nas nie wątpi, że sprawa jest ważna, że „Otwarte Drzwi” mają sporą liczbę zwolenniczek, skrajność rozwija bowiem szybką propagandę i operuje łatwymi efektami. P. Jastrzębska, w zrozumieniu ważności tego neo-emancypacyjnego ruchu, wezwała kobiety polskie do przedyskutowania haseł „Otwartych Drzwi”. W istocie ruchliwy „Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet” jeszcze w lutym b. r. zainicjował akcję dyskusyjną na temat postulatów „Otwartych Drzwi”, a wyczerpujący referat p. Haliny Krahelskiej wyraźnie wypowiedział się przeciw postulatowi „Open Door”.

Nie ulega wątpliwości, że skrajnie feministyczne hasła „Otwartych Drzwi” kryją w sobie duże niebezpieczeństwo, a godząc w zdobycze społeczne kobiet, mogą stworzyć dla kobiet pracujących warunki jaknajcięższe. W szeregu artykułów pp. Szelałowska, Siemieńska, Minkowska, Jaxa-Bykowska, Krahelska i inne zgodnie oceniły szkodliwość takich „ambicji”, może popartych argumentacją teoretyczną, ale w praktyce bodajże niezastosowalnych. Jeżeli bowiem postulaty „Open Door”, dotyczące wolności wyboru pracy w każdej gałęzi przemysłu, nawet w szkodliwej dla zdrowia (np. w przemyśle ołowianym), albo i postulat zniesienia ustawy, zabraniającej kobietom pracy nocnej — miałyby niejakie uzasadnienie, to żadną miarą nie można się zgodzić na żądanie „Otwartych Drzwi”, aby zniesiono prawo ochrony kobiety przed porodem i po porodzie. Dowodzenie „Open Door”, że państwo nie traktuje matki, jako wolnego człowieka, a tylko jako środek do przysparzania dzieci — jest demagogiczne, mówiąc bowiem pięknie o wolności kobiety, nakłada na nią brzemię nadludzkiego wysiłku i czyni ją przedmiotem wyzysku pracodawców.

Wyjątkowość tego prawa ochronnego dla kobiet jest zresztą uzasadniona nie tylko względami humanitarnymi, nieuznawaniem przez zaciekle feministki „Otwartych Drzwi”. Słusznie dowodzi p. Krahelska („Gazeta Polska z 27-o marca b. r.), że „kobieta-robotnica z tytułu macierzyństwa w każdym ustroju będzie wymagała specjalnej ochrony pracy”. I tu właśnie załamać się musi zasada równouprawnienia na rzecz — przywileju. Przywilej ten uwarunkowała przyroda i dlatego hasło „Otwartych Drzwi” posiada znamiona wyłącznie teoretyczne. Jest to właśnie typowy przykład teorii zbyt ciasnej.

Kwestja kobieca, jak zaznaczyliśmy, nie jest dziś osobnem, samopas idącym zagadnieniem społecznem. Powiązana z każdą niemal dziedziną życia, musi sprawa kobieca uwzględniać sprawy ogólne, dostosować się do całokształtu organizacji społeczno-państwowej. Kobieta zresztą we własnym interesie nie może rozbić rodziny, a rodząc dzieci, musi spełniać zadanie matki i wychowawczyni. Na to niema rady, i rozumny feminizm potrafił wywalczyć dla kobiety wyjątkowe prawa ochronne. Może nie są one jeszcze dostatecznie stosowane, a sprawa urlopów połogowych i popołogowych nie we wszystkich instytucjach i przedsiębiorstwach jest należycie interpretowana. Należałoby raczej rozciągnąć ściślejszy nadzór nad wykonywaniem tych ustaw ochronnych, sformułować wypłacanie zasiłków w okresie urlopów porodowych w ten sposób, żeby kobiety nie ponosiły w tym okresie szkód materialnych, żeby owa forma ubezpieczeniowa nie obciążała zarobków kobiety.

Nie zwalczanie więc tych ustaw, ale rozszerzanie ich, ulepszanie na korzyść kobiety-matki — wydaje się nam postępowaniem feminizmu. To zaś, co propaguje „Open Door”, już w tej chwili okazało się mieczem obosiecznym, skoro zyskało obrońców w sferach pracodawców różnego autoramentu. Chwalą sobie ci panowie ambicję kobiet z „Open Door”, ale jak postąpią z pracownicą, która okaże się słabsza i będzie musiała zaniechać pracy na ustawowy dziś czas sześciu tygodni po porodzie? Napewno wyrzucą ją na bruk, bez poniesienia żadnej odpowiedzialności za to, że matka i dziecko zginą z głodu.

A teraz jeszcze parę słów o samej epatującej nazwie: „Otwarte Drzwi”. Otwarte drzwi do wszelkiej pracy są przecież naszym postulatem, skoro od dawna już żądamy wolnej i uczciwej konkurencji pracy i jednakej płacy za jednaką pracę. To jest poniekąd nasz ruch odśrodkowy, zagarniający szersze tereny. Natomiast inna jest sprawa z ochroną macierzyństwa, bo zagadnienie to ma znaczenie biologiczne, jest prawem trwałości istnienia, mieści więc w sobie ową realność wszelakich zagadnień, które bez człowieka przestają być nawet pojęciem. Jeżeli tak ujmemy akcję „Open Door”, ujrzymy dopiero całkowitą ciasnotę doktrynerstwa społecznego „Międzynarodówki Otwartych Drzwi”.

Herminja Naglerowa.

SKUPIENIE SIŁ — SAMOPOMOC — KOLEŻEŃSTWO

(Międzynarodowy Związek Kobiet Pracujących Zawodowo)

W poselstwie od Międzynarodowego Związku Kobiet Pracujących Zawodowo, z pozdrowieniem dla Polek i zaproszeniem przystąpienia do ich szeregów — zjawiała się z końcem marca w Warszawie i Krakowie Miss Dorothy A. Heneker, sekretarka generalna tej organizacji.

Skąd? Z Nowego Jorku, Montrealu, Rzymu, Paryża, Wiednia, Londynu. To są bowiem dotychczas ośrodki grup organizacji, która pragnie rozszerzyć się na cały kulturalny świat.

— Wierzę, że stworzenie życzliwego porozumienia i współpraca kobiet, pracujących zawodowo we wszystkich narodach może posunąć znacznie naprzód pokojowe stosunki między narodami świata.

Ta, która to mówi, nie jest naiwną marzycielką. Miss Dorothy A. Heneker jest z wykształcenia historyczką i prawniczką, praktykującą w dziedzinie bankowości, autorką naukowych prac, prelegentką znaną i działaczką wybitną. Powierzono jej przewodnictwo kanadyjskiego oddziału i Sekretarjat generalny Międzynarodowego Związku.

Przybyła obecnie do Europy, by przygotować Kongres Międzynarodowy swej organizacji. Odbędzie się on w Wiedniu z końcem lipca.

Z sympatyczną Amerykanką przechodzimy odrazu na tory konkretnego porozumienia. Przypominam jej, że „International Federation of Business and Professional Women“ nie jest w Polsce nieznana; tego lata bawiła u nas już wycieczka amerykańskiego oddziału, wzbudzając duże zainteresowanie i sympatię.

— Kobiety w Stanach Zjednoczonych były zresztą pierwsze, które powołały do życia nasz Związek — oświadcza p. Heneker. — Było to w roku 1919 w Saint Louis. Dwieście kobiet, nie mając nic, prócz wiary w swą misję, poczucia potrzeby i pożyteczności takiej organizacji, założyły zrzeszenie kobiet, zawodowo i handlowo pracujących. Obecnie liczba członkiń w Stanach Zjednoczonych dochodzi do 70.000, a należą one do przeszło 500 różnych zawodów. Związek ma w Nowym Jorku własne biuro, zajmujące całe piętro w olbrzymim drapaczu nieba na Broadway'u. Tam również znajduje się redakcja pisma związkowego, wychodzącego pod tytułem „The Independent Woman“ (Samodzielna Kobieta).

— Co łączy te kobiety różnych zawodów i niewątpliwie różnych poglądów?

— Wspólne cele, które ujmujemy w trzy określenia: skupienie sił kobiecych, pomoc wzajemna i rozwój koleżeństwa. Każda kobieta zrozumie korzyści, płynące ze wspólnej akcji. W Ameryce bardzo wiele kobiet pracuje w ciężkich warunkach, zadaniem naszego Związku jest te warunki uczynić możliwie najlepszymi.

— Jakimi drogami idzie zatem działalność Związku?

— Będę mówiła wciąż o Stanach Zjednoczonych, bo tam wytworzyły się już pewne wzory działalności, które mogą być częściowo stosowane i w innych krajach — zaznacza Miss Dorothy Heneker. — Po pierwsze, Amerykanki zajęły się zbadaniem możliwości i warunków pracy zawodowej kobiet w tych zawodach, które one już uprawiają. Po drugie, zainteresowały się nowymi zawodami, w jakich mogą być za-

trudnione kobiety, i na tej drodze zyskały wiele pola dla młodych sił. Po trzecie, badają warunki życia i prawną sytuację kobiet, pracujących zawodowo.

— Co osiągnęła już ta praca Związku, jakie rezultaty?

— Bardzo doniosłą rzeczą było ustalenie (standaryzowanie) typu amerykańskich szkół handlowych dla kobiet, co Związek osiągnął dzięki współpracy z ministerstwami, zwłaszcza z ministerstwem pracy i przemysłu i handlu. Dziś mamy w Stanach jeden typ tych szkół. Inną sprawą jest np. kwestja zatrudnienia kobiet starszych. W Ameryce bardzo trudno jest o posadę osobie (mężczyźnie czy kobiecie), która przekroczyła lat 40, ubezpieczenia zaś na starość (asekuracje) można otrzymać dopiero od 65 roku życia. Sytuacja tragiczna. Przy współpracy Uniwersytetu w Michigan, Związek zebrał statystyczne dane na ten temat, aby zająć się dolą i sytuacją kobiet, nie mogących z powodu swego wieku znaleźć pracy.

— Dzięki naszym staraniom — ciągnie Miss Heneker — odbył się w Stanach „Tydzień Kobiety pracującej“, w ciągu którego wszyscy burmistrzowie i prezydenci przeprowadzili ankietę o zatrudnieniu kobiet w zawodach wolnych i handlowych.

— A na czym polega poszukiwanie nowych możliwości i pól pracy dla kobiet? — nie dają odpocząć mej rozmówczyni.

— Przedewszystkiem pracuje się nad skierowywaniem młodych dziewcząt do właściwych dla nich zawodów, według ich uzdolnień.

— Jednym słowem, szeroko rozwinięte poradnictwo zawodowe...

— Tak jest. Pozatem udzielamy pożyczek zwrotnych pracownikom, pragnącym się dokształcać. Mamy na ten cel fundusz: ćwierć miliona dolarów.

Okazuje się, że się nie przesłyszałam. Na moją prośbę, Miss Dorothy potwierdza tę imponującą cyfrę.

Aby zbadać warunki pracy kobiet, rozesłano niedawno ankietę do kilkudziesięciu tysięcy kobiet z szeregiem pytań: jak pracuje? ile zarabia? czy po zamążpójściu będzie pracowała nadal? jakie ma wykształcenie? ile oszczędza? czy mężatka zarabia więcej od niezamężnej, czy przeciwnie?

Ankieta taka może dać ciekawe informacje, ale od ankiet, które są znaną słabością amerykańskich systemów, szukam przejścia do praktyki życia w poszczególnych kołach Związku, zasypując Miss Dorothy pytaniami, czy „kobiety zawodowe“ (jak mówią nasze panie) mają swoje kluby, swoje banki, ubezpieczenia, domy wakacyjne, wycieczki, biblioteki...

— To zależy od poszczególnych kół i grup. Mają jaknajwiększą swobodę w kształtowaniu swych prac. Jedne kładą większy nacisk na życie towarzyskie, inne na stronę praktycznej samopomocy, niektóre prowadzą także prace kulturalne, kursy dokształcające. Władze naczelne Związku dbają zaś przedewszystkiem o sprawy ogólne, sytuację prawną kobiet pracujących zawodowo, o ich zdrowie. Utrzymujemy łączność z władzami zdrowia publicznego, zapewniamy członkiniom pomoc lekarską i sanatoryjną, wypoczynek letni i t. p. Pozatem dostajemy dla nich zniżki na kolejach, w podróżach międzynarodowych i t. p.

— Jak przedstawia się akcja Związku w innych krajach?

— W roku ubiegłym (26 sierpnia) w Genewie powstał Międzynarodowy Związek. Należą do niego, prócz Stanów Zjednoczonych, Kanada, Austria, Włochy, Francja. Inne kraje, jak Wielka Brytania, Belgja, Holandia, dopiero organizują swe grupy narodowe. Wszędzie jednak myśl stworzenia takiej organizacji przyjmowana jest z wielkim zapałem. Każda grupa i każdy kraj mają pełną swobodę organizowania się według własnych zasad, byle cele ogólne były te same i obowiązki członkowskie wobec Związku Międzynarodowego wypełnione. Zrzeszenia poszczególnych krajów mogą być związkami związków kobiet, pracujących w handlu, przemyśle, biurowości, w zawodach wolnych, jak lekarki, prawniczki, literatki i t. p.; mogą to być również organizacje, tworzone na podstawie członkostwa indywidualnego. Muszą jednak łączyć kobiety bez względu na poglądy polityczne i wyznaniowe.

— A władze Międzynarodowe i ich organizacja?

— Na czele Związku Międzynarodowego stoi Lena Madesin Phillips (Stany Zjednoczone) z zawodu adwokatka. Cztery wiceprezeski reprezentują różne kraje (p. Traversari — Italję; p. Yvonne Netter — Francję; Dr. Marjanna Beth, znana filozofka i prawniczka — Austrję; p. Helen Fraser — Anglję). Każda grupa narodowa ma pozatem swą przedstawicielkę w zarządzie naczelnym.



Miss Dorothy A. Heneker.

W celu lepszego rozplanowania pracy zorganizowałyśmy szereg wydziałów (Committee) z siedzibą w różnych krajach. W Londynie jest wydział organizacyjno-gościnny, który zajmuje się urządzaniem kongresów, wymianą prelegentek między różnymi krajami oraz ułatwianiem pobytu i gościnności członkiniom w sfederowanych krajach. W Paryżu istnieje Wydział wymiany wytwórczości. Zbiera i rozsyła próbki towarów, wytwarzanych w krajach, należących do Związku, wydaje i rozpowszechnia informacje o firmach handlowych i przemysłowych, prowadzonych przez członkinie, polecając ich wyroby.

Włochy objęły wydział wymiany i pomocy dla artystek; Nowy Jork wydział reklamy; Kanada, w mojej osobie, wydział członkowski, który zbiera informacje i adresy organizacji, jeszcze nie należących do Związku, oraz osób indywidualnych, które pragnie przyciągnąć do Międzynarodowego Związku. W Wiedniu wydział informacyjny centralizuje i rejestruje wiadomości o pracach kobiet, pracujących zawodowo, zbiera publikacje z tego zakresu, udziela wskazówek członkiniom, pragnącym studjować warunki i metody pracy kobiet.

— Jakimi sprawami zajmie się tegoroczny kongres?

— Na sesję wiedeńską przewidziana jest ankietą w sprawie technicznych lub zawodowych organizacji, które nie dopuszczają kobiet. Jeśli są takie w Polsce, prosimy o ich podanie. Ja sama — mówi Miss Heneker — należę do „upośledzonych“ w mojej ojczyźnie, dzięki temu, że mieszkam w Stanie Quebec. Jest to jedyny Stan w Kanadzie, w którym obowiązuje kodeks Napoleona. Nie wolno mi tam — jako kobiecie — wykonywać zawodu adwokackiego...

Drugą kwestją, która wejdzie na porządek dzienny w Wiedniu, jest sprawa bezrobocia wśród kobiet, o czym każda organizacja narodowa przedstawi krótkie sprawozdanie i swoje ewentualne projekty naprawy i polepszenia sytuacji. Mam nadzieję, że Polki nie zawiódą i zjawią się również na Kongresie.

Przyjeżdżając tutaj, zwróciłam się do wydziału Zagranicznego Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet i udało mi się zachęcić przedstawicielki szeregu organizacji do zawiazania Tymczasowego Komitetu organizacyjnego, który w przyszłości stworzy oddział polski naszej organizacji — kończy propagatorka zespolenia pracującego świata kobiecego.

Dzięki akcji Miss Dorothy A. Heneker, utworzył się w dniu 30 marca Tymczasowy Komitet w Warszawie, w celu zjednoczenia kobiet, zawodowo pracujących, i stworzenia reprezentacji Polski w Międzynarodowym Związku (International Federation of Business and Professional Women).

Weszły doń pp.: Anna Szelągowska, Aleksandra Hermanowa, Halina Siemieńska, przewodnicząca i członkinie wydziału Zagr. Związku Pracy Obyw. Kobiet, Zofja Miklaszewska (Związek Kobiet pracujących w Handlu i Biurowości), Sylwia Bujak-Boguska, mag. praw (przew. Klubu Kobiet Postępowych), Marja Kolabińska, inspektorka pracy; Irena Wortmanówna, adwokatka; Jadwiga Krawczyńska, dziennikarka; Eugenja Waśniewska, posłanka na Sejm.

W Krakowie powstał miejscowy Komitet (z p. Dybowską na czele). Rzeczą inicjatorek będzie dalsza akcja i przeprowadzenie porozumienia wśród organizacji zawodowych i kobiet pracujących w Polsce.

Jadwiga Krawczyńska.

H. JANUSZEWSKA.

Ż E B R A C Y

*Czysta krynica wschodu — źródło bijące —
ptaszęcy świegocie — jutrznio zaranna — słońce —*

*Ustępujmy ze szlaku! leć — leć konie zwoycięskie —
Kopyta pierś nam rozedra! Zginiemy, jak w blasku cień —
Oto rycerze — zdobywcy słońc, burz i snów —
Oto dzień — oto dzień!*

*Nie rwiemy po gościńcach pańskich — nie mamy sił —
jak robak, pełzniemy drogą w świetle radosnem świtu —
po nas depcą i skrzydła wloką orły, orły rozwołane,
rwołące na wielki szlak — na drogi szczytów.*

*Nam jeno to dniem i zdobywaniem — wąskie przydroże —
a oto idziemy, jako herosy w zbawienie — w słoneczny wschód —
pijemy pociechy największe — krynice Boże —
— Rzeka Pańska pełna jest wód.*

B R O N C H I T

Błękitne, pomarańczowe, żółte i czerwone papierowe latarenki otoczyły ją i powiodły szlakiem radosnej, ekspansywnej, rozlewnej twórczości. Pióro wędrowało, jak mogło najszybciej po białej karcie, wprawiając w drżenie całe przedramię. Wszystkie mięśnie naprężyły się i grały zgodnym rytmem wysiłku. Byłe prędzej, byle szybciej, byle zawrotniej pchać naprzód pióro wślad, w trop za mknącym w przestrzenie rojem świetlistych latarni.

Rozległ się dzwonek.

Latarenki zagasły. Przez okna wdzierać się począł niedosłyszalny dotychczas hałas ulicy.

Był to, jak zwykle o tej godzinie, chłopak z drukarni. Joanna odebrała dużą, żółtą kopertę i powróciła do pokoju. Oczywiście, należało odsunąć na bok rzeczy mniej ważne, a jąć się pracy zasadniczej. Rozłożyła długie, wąskie szpalty, pachnące jeszcze farbą.

Pierwsza zaraz strona rozpoczynała się grzmiącą rozgłosnie rozmową. Dwaj przeciwnicy ideowi stali nawprost siebie z rozgorzałymi fanatyzmem oczami. Joanna zadziwiła się, gdyż pierwszy raz widziała te słowa, nabrzmiałe jej własnym życiem, w druku. Jakże inaczej wyglądały wtedy, gdy tętniły w sercu, płomieniały przed oczami, gdy przelewały się, gorące jeszcze od wzruszenia, na papier!

Nie mogła się powstrzymać i przeczytała jednym tchem wszystko do końca, dziwiąc się coraz więcej zmianom i przesunięciom, które wystąpiły od razu jaskrawo. To, co wydawało się najistotniejsze i mocne, cofnęło się nagle w cień, a wyrazy nikłe nabrały nieoczekiwanej ważkości. Ha, trudno! Są to dziwne przetwarzania się rękopisu w książkę, marzenia w konkretne zjawisko.

Uporządkowała nanowo szpalty i rozpoczęła wyławianie omyłek.

— Podaj mi termometr, — powiedziała nagle mama i odłożyła na bok dużą plachtę dziennika.

Ciemny, nieprzyjazny słupek rtęci podniósł się bardzo szybko.

— Prawdopodobnie zaraziłam się u Adasiów, — mówiła mama, kładąc się do łóżka. — Zresztą grypa wisi w powietrzu. Nie rób takich przerażonych oczu, Joasiu. Głupstwo i drobiazg. Jutro będę już zupełnie zdrowa. Przykro mi tylko, że musisz zająć się kolacją dla siebie i Piotrusia, a tyle masz własnej roboty.

Gołębniczek, najmilszy pokóik, zawieszony wysoko, prawie o krok od nieba, stał się odrazu pusty bez przymilnej, cichej krzątaniny matczynej.

— Zobaczysz, jutro będę zdrowa — uspokajając zapewniła mama, gdy Joanna przyniosła z kuchni herbatę.

Nazajutrz było jednak gorzej i mama nie wstała z łóżka.

Mimo to napędziła Joannę do korekty i sama energicznie odbyła zwykłą przedobiednią konferencję z posługaczką Genią.

Genia kasłała, sprząając pokój i skarżyła się na klucie w boku. Dzień przeszedł jednak spokojnie. Obiad podany był w porę. Piotr, pełen humoru, rozpędzał, jak mógł, ciężkie chmury niepokojów. Mama żartowała. Korektę, wykończoną starannie, zabrał gońiec przed wieczorem.

— Jutro powinna spaść gorączka, — oznajmiła mama, układając się do snu bardzo wcześnie. Kazała osłonić się parawanem.

— A ty usiądź przy biurku, jeżeli chcesz, i pracuj trochę. Taki miałaś dzień rozerwany.

Piotr odszedł do swego mieszkania, a gołębnik zaległa cisza, przerywana tylko oddechem mamy.

Joanna rozłożyła notatki i usiłowała skupić

myśli. Biurko było urządzone w ten sposób, aby z najmniejszą stratą czasu można było przerzucić się od jednego rodzaju pracy do drugiego. Nawprost piętrzyły się ułożone działami zeszyty, pełne materiałów do pracy magisterskiej. Po bokach królowała w niebieskich teczkach twórczość osobista. Z prawej strony powieść lotnicza (hej! Joanno! co za zuchwałstwo!), z lewej historyczna z czasów Mieszka Starego. Ze ścian zwieszała się półeczka, obciążona szeregiem słowników, a przy foteliku stał niski stolik, zarzucony stosem „źródeł”. Trudno wymarzyć wygodniejszy teren pracy, zarówno we dnie, gdy obok za oknem rozpościera się otchłań bladego zimowego nieba, jak i wieczorem, kiedy mała, osłonięta abażurem lampka skupia w swym kręgu jasnym wszystkie myśli, wszystkie posunięcia.

Ale tego wieczoru Joanna nie mogła nic z siebie wykrzesać. Ołówek był jak sparaliżowany i z pod jego cienkiego ostrza nie spływało ani jedno orzeźwiający słowo. Dookoła unosiły się jakby tumany gryzącego dymu. Z niepokoju i strachu trudno było odychać.

Wieczór się dłużył, a kiedy наконец zetknął się z nocą, okazało się, że o śnie niema mowy. Noc bowiem była zła i niespokojna. Mama nie spała, kasłała, temperatura podniosła się do 40 st.

Przywołany nazajutrz lekarz stwierdził bronchit, przepisał lekarstwo i odszedł, zostawiając w oczadziałym umyśle Joanny jaśniejszą smugę.

Mężnem już sercem mogła przyjąć wiadomość o chorobie Geni.

— Ha, trudno! — rzekła z determinacją do Piotra. — Podzielimy się pracą. Ja będę paliła w piecu, sprzątała, oraz spróbuję gotować obiady, a ty, jak lew afrykański lub troglodyta, musisz znosić do jaskini żywność.

Lew skinął posłusznie jasną głową i zaraz, zaostrzywszy się w spis potrzebnych niezwłocznie produktów, ruszył w dżunglę, huczącą grzmotem ciężarowych wozów, dźwiękiem kopyt po asfalcie i pomrukiem sygnarów.

Przed Joanną wyłoniła się kuchnia. Mała, ciemna, oświetlona z góry niewielkim świetlikiem w dachu. Było tu zimno, (o, bohaterska Geniu, unosząca się na skrzydłach gorącej krwi w białej batystowej bluzeczce!), bowiem gotowało się tylko na gazie. Na półce rzędem błyszczały rondle, rondelki i rondelczki.

Należało je napełnić i puścić w ruch. Ale ile wlewało się w nie wody? ile sypało się soli? kiedy wkładało się główną zawartość? Ha! było to nieznane morze, na które pędził mus nieubłagany. Należało zepchnąć łódź na rozbujałe fale i płynąć w niewiadomym kierunku.

— Kto pyta, nie błądzi, — rzekła jednak przezniona Joanna do swej zwątpiałej duszy. I poszła do źródła wiedzy.

— Ale pokolei, mamusiu! Więc najpierw niech się zagotuje, a potem dopiero... A znów do kotletów namoczyć bułkę...

Z głową nabitą teorią wróciła do kuchni i, założywszy fartuch, jęła się pracy.

— Jak ognia, należy w nauczaniu unikać werbalizmu! — mruknęła, patrząc bezradnie na bułkę, ply-

wającą w mleku. — Bóg raczy wiedzieć, czy ją wycisnąć, czy też tak namokniętą użytkować. Binet ma rację, twierdząc, że wychowanie powinno stwarzać szereg przyzwyczajęń. Genia, wychowana na kucharkę, aniby się tu zawahała!

Wreszcie uformowała kotlety. Patrzyła z zadowoleniem, jak leżały różowe, rosłe i wyklepane należycie. Obok oczyszczona brukselka, dalej obrane kartofle i odmierzona w filiżance kasza.

Joanna bowiem w tej odpowiedzialnej godzinie życia postanowiła być systematyczna i przewidująca, baczna i ostrożna. — W ten sposób postępując, uniknę przynajmniej rażących błędów, — myślała, przystawiając do ognia rondelki. — Dobry dowódca musi być przygotowany na wszystko.

Lecz gdy batalja się rozpoczęła, dreszcz ją przeszedł. Bowiem w garnkach zapienilo się, a para buchnęła, jak z lokomotywy. Nie tracąc przytomności, poczęła zasypywać kaszę. Wilgotna aureola otoczyła jej puszystą głowę, zaczęła więc smętnie wspominać rzeźwe podmuchy wiatru na otwartej przestrzeni.

— Praca fizyczna jest rzeczą cudowną, — uświadomiła sobie. — Rozkoszą jest pracować np. w ogrodzie. Kształtować powierzchnię ziemi i wydobywać z niej drobniauchne życie, a potem czuć nad niem. Mile jest wówczas utrudzenie ramion i grzbietu. Wszystkie zmysły pracują w przyspieszonym tempie, wyobraźnia zabarwia się nanowo, a serce bije coraz śpieszniej. Jest to w całym znaczeniu tego słowa praca twórcza. Natomiast kuchnia zwęża zakres myśli do obwodu rondla, a wrażenia, jakich dostarcza, są nieponętne. Wszystko oto bełkoce bezmyślnie, wre, kipi, szumi.

Hałas wzrósł, gdy na ogień wstąpiła patelnia.

Masło zaskwierczało, kotlety buchnęły oparem, parsknęły tłuszczem, zasyczały, rozszoszczone, ciemne od furji. Błękitne festony dymu spowiły kuchnię.

Zbliżał się moment decydujący. Podanie obiadu. Ha! Niewiadomo, czy można drugie danie bezkarnie zostawić na ogniu. A jak „przypsnie”, przypali się, albo zgola „wysmyrli się” do cna?

Zgrzana, zaczerwieniona, przepojona kuchennym zapachem, zafrasowana, nieszcześliwa, wniosła nakoniec Joanna — magister filozofji — wszystko naraz do pokoju. Niech już się dzieje, co chce.

— Tron pani domu nie stoi na różach, — oświadczyła, odgarniając z czoła czuprynę. — A najwięcej upokarza mnie fakt, że to ja, która nad wszystko cenię zaradność, w tym wypadku jestem niedołężna, jak niemowlę.

— Nie martw się, — pocieszyła mama. — Ja w twoim wieku nie ugotowałabym tak obiadu. Zupa jest bardzo dobra.

— Specjał! — mruknął Piotruś-Lew. — W życiu nie jadłem nic podobnie smacznego!

Pokrzepiona dobrem słowem i uznaniem najbliższych Joanna nieco ufniej spojrziała w swą przyszłość. Mama była zdrowsza, to też nad wieczorem, gdy rozgwar pracy się uciszył, można było zapalić czarodziejskie latarenki. I pograć się w nierealnym świecie.

Lecz nazajutrz okazało się, jak zgubną rzeczą jest zbytne zaufanie w swe siły.

Zofja Sikorska.



W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

VII.

Polska Pani Girardin.

Miłość do męża kazała Zofji Węgierskiej pisać o politycznym położeniu Turcji, miłość do córeczki podsunęła dziecinne tematy; dla siebie, dla swej materialnej swobody i dla zdobycia niezależności, stała się — mistrzynią feljetonu, polską panią Girardin.

Aby nie zwracać się do rodziny o pomoc, zaczęła pisywać do pism krajowych. Początkiem tego było zaproszenie do współpracy przez redakcję Dodatku do Czasu; powierzono jej kronikę miesięczną, której podjęła się dla chleba, a z której uczyniła dzieło, godne czytania i zachwyty, zapomniane i bezimienne, warte przypomnienia i podpisania jej imieniem.

Za Dodatkiem do Czasu poszły inne zamówienia. Biblioteka Warszawska prosiła ją o informowanie swych czytelników o tem, co się dzieje w Paryżu; gazety dopominały się współpracownictwo; gdy powstał „Bluszcz”, nad greckimi literami znaczonem artykułem Sofos pochylała się z zachwytem kobiety w szerokich, ciemnych sukniach, postacie z winjetki pisma. Między niemi, zaszyta na wsi Narcyza Żmichowska, darząca Zofję zasłużonym tytułem „świetnej pism naszych korespondentki”.

Pisała nietylko o literaturze, sztuce i nauce; poruszała wszystkie ówczesne zagadnienia — prócz politycznych; ukryła się pod męską postacią, gdyż w tej fikcyjnej roli swobodniej o wszystkim mówić mogła. Wiele pisała o samym Paryżu. Paryż jest, jak człowiek kochany — wciąż inne pokazuje oblicze, póki patrzeć na nie umiemy... Mieszkańców jego wielbi jednocześnie i krytykuje; podwójnem żyje życiem: miasta, które ją otacza i — poezją polską, na której się wychowała.

Pisała, jak kobieta mądra, rozumna, uczona, jak kobieta dobra, pięknie o rzeczach poważnych, wierna zasadzie XVIII-go wieku: „Glissez, n'appuyez pas”. Każda jej karta jest, jak gałąź, uginająca się pod ciężarem kwiecia.

„Wiadomości Polskie”, wyraz ówczesnej emigracji, oceniły jej prace; mówią o niej, że z taktem i poczuciem rzeczy wywiązuje się z zadania; zachwycają się nieporównanem mistrzostwem stylu, prawdziwie artystycznym odczuciem, brylantowym humorem.

Pisała o książkach, których w Polsce nie znano, o życiu tam niewidzianych, a przedstawiała je tak, iż Klaczko zaliczał ją do rzadkich „feljetonistów-korespondentów”, którzy ludzi w kraju uczyli marzyć i tęsknić za Paryżem. W tej dobie, gdy czytano mało, ona posiadała wielką liczbę czytelników, ale że szczyt sławy osiągnęła — bezimiennie, należy polskiej pani Girardin wynagrodzić największą krzywdę, jaka stać się może autorowi.

VIII.

Zwierciadło paryskiej stolicy w roku 1854.

Zofja Węgierska tak w roku 1854 zaczęła pierwszą swą korespondencję do Dodatku do „Czasu”:

„Chcesz wieści z modnego świata? Tęskno ci więc za Paryżem, za tym rajem sztucznym, któryśmy kiedyś zaludniali idealami naszej dwudziestoletniej fantazji, a który się w pamięci przechowwał świeży i barwny, jak motyl w bursztynie, u każdego, co go porzucił młody. Tęskno ci, tobie, coś w szarych murach cichego Krakowa utonął, za zgiełkiem stolicy, za potrójnym ruchem, który tu ożywia każdego; za światłem, które zalewa głowy i ulice; za teatrem, w którym nie znają

bezkrólewia po zmarłym geniuszu; za sklepami, w których wykwił smaku zamieszkał; za tłumem owych rącznych gazelli, co jedwabnymi bucikami ledwie dotykając ziemi, biegają po ulicach Paryża, a wzrok ich przeszywa koronkowe zasłony, jak ogień wystrzału swój dymowy obłok...”

Ponieważ Zofji kazano być zwierciadłem paryskiej stolicy, więc w ostatni wtorek, z rozwartym parasolem, wraz z innymi patrzyła na orszak tłustego wołu, wielkomiejskiego Apisa. Uginając się pod brzemieniem tuszy i kwiatów, szedł ze spuszczoną głową, pod złotą koroną, śmierć swą niechybną przeczuwając. Na ulicy cieszył się i bawił ludek; śmiewka zaś jego bawiła się w Jardin d'Hiver. Zofja była tam niedawno, bo i o tem pisać jej trzeba.

Modny świat na Polach Elizejskich znalazł zieloną oazę, pokrytą szklanym dachem. Ściany z bluszczu, rozpiętego na zwierciadłach, nie tamują wzroku, a pozwalają domyślać się ogrodów bez końca. Sala balowa umeblowana w szmaragdowe aksamity, reszta ogrodu — to klomby, ścieżki, wodospady, fontanny, skały, drzewa podzwrotnikowe, trawniki z mchu irlandzkiego, rozkwitłe kwietniki, pachnące magnolie, różowe laury.

Muzyka gra walca Straussa.

Wśród tych płasających duchów, w tej atmosferze, co na wszystkie pięć zmysłów naraz działa, wśród lamliwych atlasów, co drażnią, aksamitów, co pieszczą w dotknięciu — wzięła ją chętka pozazdrościć szczęśliwym aktorom ludzkiej komedji, której ona była tylko widzem, i pytanie, jak skarga, ciche, na usta jej wypłynęło:

— Nigdy już nie wyjdę z mej roli?

Dziś wypadało pójść na bal do Opery, poprzednio znalazłszy towarzysza, któryby jednak nie przeszkadzał być samą. Towarzysz konieczny, bo nie można być bez towarzysza na balu w Operze, nawet, gdy się gra smutną dolę biernego zwierciadła.

Gmach Opery przy ulicy Lepelletier płonął, jak pochodnia.

Głowę mając oświetloną girlandami gazu, a ogon gdzieś gubiąc w ciemności nocy, wyglądał, jak smok, łykający nieskończony szereg masek, które, podskakując za taktem dalekiej orkiestry, niknęły w rozwartej paszczy potwora.

Uwijali się przekupnie:

„Panowie, bilety, kto chce biletów!? Panie baronie, bilety tańsze, niż w biurze! Bilety z okazji, mości ambasadorze! Łoża, mości książę!”

Chłopaki rzucały się ochędożyć buciki, — szuwaksować, choćbyś miał, panie hrabio, buty z różowego atlasu!

W kąciaku łoży, ubranej fałszywemi kameljami, kobieta, która przyszła notować, nie bawić się, patrzyła na salę, podobną do rozhukanego morza, zbożowego łąnu, szamotanego burzliwym wichrem. Tylko kto zna Izbę Deputatów, Bursę o południu, bal ten sobie wyobrazić może.

Bal monsturalny, najszańszy, najwrzaskliwszy — bal, którego opisywać się wam nie podejmuję... czytelnicy Dodatku do „Czasu”.

Płonęło dwadzieścia pięć kandelabrow, każdy zapalił tysiąc świec gazowych, odbijających się w mnogich lustrach. Przeglądał się w nich cały Paryż, rozkochany w sobie, jak Narcyz rad pochyla się nad przygodnem źródłem, gdzie ma nadzieję odbicie swe zobaczyć. Orkiestra, z 300-tu muzykantów zło-

zona, głosem trąb archanielskich na sądzie ostatecznym, gra polkę z „Pięknej Heleny“.

Tłum ludzi — dawnych. Wszystkie ubiory, jakie nadał ludziom klimat, lub zrodził przepych, ożeniony z kokieteryją, związane w jakąś girlandę, drgającą konwulsyjnie, jak wąż, pocięty na sztuki — sunęły, podobne do bezładnej wizji pokoleń, symbolów i figur historycznych całego świata.

Gdzież namiętne głowy, które paliły się pod beretami o powiewnych piórach? Gdzie płomienne serca, co były pod kaftanami z jedwabiu lub stanikami ze złota i pereł? Ułożyli się w grób i nie czekają na zapomnienie. Samo przyszło. Ich awatory budzą się w ostatnią noc karnawałową i — polkują.

Piękna to była polka! Tańczono ją jednak, pomimo oburzenia ludzi uczciwych, przekładających nad nią kadryl, i pomimo rzuconej niedawno anatemy przez wicehrabiego B. de Saint-Laurent.

W broszurce swej, pod napisem: „Quelques mots sur les danses modernes“, nazwał polkę afrodyjskim tańcem. Nie oburzał się bez powodu, widocznie obserwował te zgubne dla duszy nowatorskie pląsy. „Gdy mężczyzna jest chrześcijaninem, a kobieta też, ręka jego sztorcem spoczywa na talji, opierając się na bufach krynoliny“. To już sposób tańczenia niemoralny, ale jeszcze ujdzie — jakże, niestety, rzadki! „Zazwyczaj prawe ramię tancerza otacza połowę talji tancerki! Dla jednych polka — to po wyjściu z sali balowej preludjum do uniesień z kochankami; inni, wskutek tych grzesznych zetknięć w wyobraźni z wami się rozkoszują, o biedne siostry moje, chrześcijanki!“

W łóżach różowe światło półkulistych lamp... Ciała, napojone drażniącymi woniami piżmu, pokryły damy białą i czerwoną warstwą i tak nabalsamowane siadają, raczej kładą się w karminowych fotelach. Na aksamicie piękność swą sztuczną światu pokazuja.

Odrzuciły kaszmirowe szale i ramiona ich wydobyły się ze staników. Na piersiach białe kamelje i fiołki parmeńskie. Na głowie modne uczesanie à l'Espagnole: wszystkie włosy, zagarnięte wtył, chowają się w siatkę perłową, razem z warkoczem, przepiętą długą złotą strzałą. Accroche-cœur'y — Suivez-moi, jeunes hommes...

Na jasnym czole djadem... Tu każda kobieta pragnie być cesarżową Eugenją...

Wielkie damy i wielcy panowie... A obok libertyni i kokietki... Na wszystko zimny obojętny Dandy, który przyszedł po Incroyable i Muscadin. Zarówno obojętny dla swego konia, jak i dla swej kochanki...

W jakimś końcu sali loretki drogi swój czas marnują na politycznych rozmowach...

Perfumy i pokusy w powietrzu... Nowy powiew tańczącej zawieruchy... Muzyka gra teraz walc. Namiętne, porywające, wołające... Jakby to był ostatni walc... A przecież tu wielki post smyczków nie polamie...

Paryż jest arcydziełem szatana, najwyrafinowanym, najsubtelniejszym ekstraktem pokus, jakie ku zatraceniu człowieka odwieczny nieprzyjaciel Nieba na piekielnym wysmażył ogniu. Nigdzie wiara w jego interwencję nie jest tak żywa i tak, jak tu, uzasadniona.

O północy tombola dla pań, a także 10.000 nagrody temu, kto dowiedzie, iż wół dzisiejszy nie był tłusty.

Nagła cisza — występ tancerki hiszpańskiej... Francuzi milczą jedynie podczas baletu, a uważnie słuchają tylko piruetów...

Camara, urzeczywistnienie bohaterki Byrona i Musseta, mogłaby być uwielbianą przez wszystkich romancerów... Sam Goya nie ubrałby jej charakterystyczniej — najszaleszą miała tualetę.

Wyobraź iskrę, na której rysują się czarne hafty, powiewają frendzle, kutasy, pióra, kokardy; błyszczą blaszki, dzwonki, gruchawki, guziki, breloki, drogie kamienie, perły, muszle — słowem wszystkie ozdoby, jakie może pomieścić na sobie baskina.

Petra Camara tańczy la Sevillana. Niepojęty szal unosi ją prawie niedościgną dla oka. Zdaje się usypiać, zasłaniając się szybkością tańca, jak konik polny trzepotaniem gazowych skrzydełek. To znów wpada w uparte kołowanie derwiszów, aż wyrwana z tego wiru szczękiem kastanjet, unosi falbany, jakby chciała w nie zgarnąć wszystkie żądze i pochwały, poczem z pogardą otrzepuje spódniczki i z głośnym śmiechem ucieka, jak spłoszona sarna.

Już wiele dam modnego świata opuszcza sale, choć zapisane miały w karnecikach dalsze zaproszenia. Zato inne tańczą kadryla, który teraz, o tej późnej godzinie, bardzo do kankana jest zbliżony.

Zabawa miała się ku końcowi. Pani Zofji chciało się spać. Przecierała oczy i znów je szeroko otwierała, aby w źrenicach jaknajwięcej się odbiło obrazów, mających lecieć do Krakowa. Kazano bowiem, „żebyśmy byli zwierciadłem francuskiej stolicy“. Szkoda, że to paryskie zwierciadło nietylko o jasnych, ale i o szarych rzeczach gadać musi!...

Kto z Opery nie idzie na kolację, to jakby na balu nie był, jakby wyszedł z teatru w pół sztuki, jakby wstał od obiadu po zakąskach. Jedni więc jadą do Lasku bułońskiego na soupe à l'oignon, Aux Trois Saveurs, bo ta otrzymała palmę pierwszeństwa na dorocznym gastronomicznym konkursie; inni idą do Vachette'a, albo do Maison Dorée. Dla biednej pani Zofji bal kończył się napisaniem korespondencji...

Wyszła razem z całą falą wychodzących. Z obowiązku kronikarskiego patrzyła jeszcze na tualety: junnackie pamele, barwne chusty, czarne krepowe mantyle, obszyte szerokim aksamitnym szlakiem, jak kalemki turczynki, spadające na 36 falban krynoliny, na czarne koronki, zarzucone na utrefione włosy, spoczywające pod szeleszczącym jedwabiem, jak nocny motyl pod liściem. Dama w białej szubce, obramowanej lisem wydawała się być boule de neige — lub mączniczką krakowską...

Prawie wszystkie dźwigały w uszach długie szmaragdowe kolczyki, które za każdym ruchem boleśnie dotykały szyi; cierpiały, bo taka była moda. A przedewszystkiem dlatego, iż kobieta do poświęceń jest stworzona...

Ktoś nucił półgłosem: „Brigadier, vous avez raison“, a ktoś inny: „C'est le vent, c'est le vent, c'est le vent“... Echo w wesołą noc zabawy niosło piosenkę daleko.

Powietrze zimne było, jak grób, smutne, jak całun, ciemne, jak wieczność.

Dla tych, co bawić się mają prawo, nadchodził sen; dla innych Paryż... budzić się zaczął do pracy.

Praca żelazną dłonią chwyta paryżanina i często trzyma go do północy. Okrzyczany trzpiotem, miał już czas lekkomyślność swą stracić. Zgilotynowano ją razem z arystokracją, w roku 1793. To też pracuje — buduje, kuje, żłobi, przedzie, myśli, czyta, pisze, sprzedaje, kupuje, spekuluje, gra na Bursie i fortepianie, tak pilnie, tak zażarcie, że ledwie ma czas zjeść i przespać się. Dawniej człowiek jadł, obecnie pożera; dawniej chodził, teraz biega; dawniej pi-

sał, teraz notuje; podróżował, teraz szybko z miejsca na miejsce przejeżdża. Każda rzecz miała swój początek, środek i koniec. Dziś — tylko koniec.

Ale ta pracowitość, jakże zmaterializowana! Jeszcze zamłodu francuz kocha wolność, ale na starość już nie kocha nic, prócz pieniędzy. Balzac wprowadził monetę do literatury. Inni poszli jego śladami, gonitwę za kobietą zastępując gonitwą za mamoną. Cóż dziwnego, gdy Bursa stała się świątynią, miasto

zmieniło charakter, a mieszkańcy jego swą duszę. Nastąpił zastój, który wkrótce Renan określi: „Nous n'allons ni vers le bien, ni vers le mal: nous allons vers le médiocre“.

Widno się prawie uczyniło, gdy Zofja doszła do domu. Paryż zaczął nowy dzień pod opieką Jego Szałańskiej Mości. Znów szczytna emulacja kokieteryj, sprośności i fałszu, świecącej nędzy i odrażającego zbytku.

Aura Wyleżyńska.

KRYZYS RODZINY

W POLSKIEJ BELETRYSTYCE KOBIECEJ Z ROKU 1930

Plon beletrystyki kobiecej z roku 1930-ego odznacza się zmienną jednostronnością w wyborze tematu, przy różnorodności dróg, jakimi do tego tematu podchodzą autorki, zgodnie z naturą swego talentu i indywidualnym nastawieniem artystycznym.

Oprócz „Legnickiego pola“ Kossak-Szczuckiej, które poddaliśmy na tem miejscu szczegółowej analizie, niemal wszystkie powieści kobiece roku ubiegłego wyrosły na tym fermentującym rozczywie społecznym, jakim jest kryzys małżeństwa i rodziny.

Zaznaczyć przytem należy, że żadna z autorek nie kusi się o rozwiązanie tego palącego problemu. Szereguje przesłanki życiowe, nie kwapiąc się do wprowadzenia wniosku o charakterze zbiorowego nakazu społecznego. Prześwieśla fakty, ale nie kuje z nich oręża ciasnej doktryny. Tę wstrzemięźliwość i oględność zapisać należy bezwarunkowo na plus twórczości kobiecej, poczytać ją można nawet za chlubny dowód dojrzałości artystycznej.

Nie wykoszlawiać zwierciadła rzeczywistości w wymuszony kształt drogowskazu, notować symptomy, nawet posunąć się do stawiania diagnozy, ale powstrzymać się w porę od znachorstwa psychologicznego i społecznego; żyć tętnem chwili obecnej, oddychać powietrzem współczesności, a nie wpaść w tanią doraźność publicystyki, — oto trudne zadanie pisarza obyczajowego, któremu jednak — z drobnymi, rzecz prosta, odchyleniami — powieściopisarki nasze potrafiły sprostać.

Zacznijmy od książki, która zarzuca swoją sieć operacyjną na stosunkowo najobszerniejszy teren. „Dzień dzisiejszy“ Kossak-Szczuckiej nie daje wprawdzie — jakbyśmy po tytule mieli prawo tego się spodziewać — przekroju całego społeczeństwa polskiego, ale tej tylko jego części, z którą autorka zrosnięta jest organicznie, a która może najsilniej odczuła wszystkie kryzysy dzisiejsze, zarówno kryzys rodziny, jak kryzys ekonomiczny, przewartościowanie pojęć etycznych, różnic społecznych i towarzyskich i t. p.

„Powiastka współczesna“ — z taką trochę lekceważącą legitymacją puściła w świat swoją ostatnią książkę Zofja Kossak-Szczucka. Powiastka, a zatem coś, co nie ma pretensji do wielkiej sztuki, nawet do powieści na serjo. Coś takiego, co, bawiąc, ma obudzić poważniejsze refleksje.

Autorka, bez specjalnego nastawiania się na temat i uzbrajania się w aparat źródłowy, niezbędny przy jej powieściach historycznych, sposobem gospo-

darczym niejako wycina z bieżącej rzeczywistości skrawek życia młodego ziemianina, ot, taką sobie „próbkę bez wartości“, choć odciętą ze sztuki szlachetnego materjału, i zszywa ją pośpiesznie z kilkoma innymi próbkami odmiennego nieco gatunku, co ma dać w rezultacie całość nawskroś „moderne“.

Tak jednak nie jest. „Dzień dzisiejszy“ poza swą nazwą i czysto mechaniczną, powierzchowną, niemal dziennikarską aktualnością przytaczanych zdarzeń, ani w fakturze, ani w wewnętrznym stosunku autorki do rzeczywistości nie ma w sobie nic współczesnego. Jest to naprawdę powiastka na modłę bodajże przed-sienkiewiczowską, w momentach humoru prymitywniejszych zarywająca „Ramotami i ramotkami“ nieodżałowanego Wilkońskiego, a w bardziej finezyjnych — Weyssenhofem, nie tym z Podfilipskiego i Puszczy, ale ze Sprawy Dołęgi i Syna Marnotrawnego.

Jeśli chodzi o stosunek wewnętrzny do obecnej rzeczywistości polskiej, nie tak nie demaskuje autora, jak właśnie takie „wczasy literackie“.

Wielka sztuka jest, jak wielka miłość. Autor, jak kochanek, przystępuje do niej z namaszczeniem, w napięciu wszystkich swoich władz, odświeżony, koturnowy, często sztucznie udrapowany. „Powiastka“ upoważnia do zrzucenia płaszcza i pióropusza, do zamiany koturnów na zwykłe, trochę nawet przydeptane pantofle, do traktowania rzeczy na codzień, po gospodarsku, za pan-brat.

Kossak-Szczucka, nawykła do ujmowania faktów z pewnego historycznego dystansu, tutaj za blisko podeszła do rzeczywistości i w tem starciu à bout portant straciła to, co w konstrukcji powieściowej jest, kto wie, czy nie najważniejszym miernikiem: perspektywę. Jednaką skalą mierzy źródła i ujścia, szczyty i płaszczyzny. Wszystko jest dla niej na jednym planie. Przekrój rzeczywistości, wykonany prosto, jak po nitce, dał zamiast bryły, kompozycję raczej dwuwymiarową. Umieszczanie takich zagadnień społecznych, jak kryzys ziemiaństwa, chaos poglądów politycznych, sprawa rozwodów, zmiany wyznania i przerywania ciąży, na tej samej płaszczyźnie co zawody narciarskie, sport automobilowy, flirt, bridż i sąsiedzkie ploteczki — zamiast dawać bogactwo i pełność obrazu, sprawia raczej wrażenie mozaiki, rażącej dysproporcją poszczególnych motywów.

„Qui trop embrasse, mal étreint“. Kossak-Szczucka, wierna swym tradycjom obywatelskim, chciała i tu być pszczolą, oddzielającą skrzętnie miody od jadów,

i przy tej funkcji chemicznej posługiwała się nieopatrznie zbyt prymitywnymi odczynnikami, które zmaciały nieco tok przejrzystej, lekko strawnej, i pogodnej naracji. Przejrzystość, pogoda — cechy dość rzadkie, niestety, we współczesnej beletrystyce — niechybnie zadecydują w sensie pomyślnym o powodzeniu „Dnia dzisiejszego”, jako miłej i zdrowej lektury, o głębszym podkładzie ideowym.

Tej ideologii społecznej, w którą tak łatwo wpadają kobiety, szczęśliwie uniknęła Herminja Naglerowa w swej powieści p. t. „Zawalidroga”. Jeżeli nawet ta ideologia istnieje, to zawalona doszczętnie nawarstwieniami konieczności życiowych i psychologicznych. Autorka nigdzie nie każe czytelnikowi rozstrzygać, czy tak, jak jest, jest dobrze, czy źle, i jak być powinno. Pokazuje, co jest, co musiało się stać, co wynikło z naturalnego biegu zdarzeń. Rozwój akcji wypływa z psychologii bohaterów, i odwrotnie: ich wzrost wewnętrzny zabezpieczony jest na murowanej hipotece faktów. I tą drogą autorka z pozornie szczupłego i skromnego skrawka rzeczywistości umiała wydobyć akcenty, świadczące, że mamy do czynienia z odcinkiem życiowego frontu, na którym ścierają się najistotniejsze instynkty i interesy dwóch pokoleń.

Problemat rozvodu rozpatrywany bywa zwykle pod kątem uczuć i interesów obojga małżonków, przynajmniej tak go traktowała dotychczas beletrystyka. Autorka „Zawalidrogi” dokonywa niejako wyłomu w tym utartym „zwyczaj” literackim, podchodząc do zagadnienia od strony może najbardziej zainteresowanej w sprawach współżycia rodziców: od strony dziecka.

Bohaterem powieści, faktycznie biernym, ale uczuciowo nieskończenie czynnym świadkiem, a poniekąd i ofiarą rodzinnego konfliktu jest młody chłopak, Franek, z wyrostka przedzierzgaający się właśnie w młodzieńca, z dziecka — w mężczyznę. Ten okres przełomowy w najnormalniejszych nawet warunkach życiowych jest okresem wybujałej wrażliwości i drażliwości, momentem wysilenia i skupienia wszystkich władz intelektualnych i uczuciowych młodego organizmu. Intensywność przeżyć wewnętrznych nigdy nie osiąga takiej skali napięcia, co we wczesnej młodości. I wszelkie najdrobniejsze urazy psychiczne, zadane ukochaną ręką, pozostawiają na duszy młodocianej niezatarte ślady.

Autorka z niezwykłą sumiennością wniknęła we wszystkie zakamarki duchowe swego pupila. Jej Franek — to indywidualność silna, zachłanna, apodyktyczna, typowo męska, nie uznająca kompromisów. Nie akomoduje się do okoliczności zewnętrznych, przeciwnie, chciałby je nałamać do swojej woli, a ponieważ brak mu na to sił, sztuki życia, umiejętności podjęcia do ludzi — sam załamuje się na każdej przeszkodzie. Gotów jest jednak raczej ogłosić bankructwo, niż ustąpić.

Franek jest doskonałym materiałem na człowieka z charakterem. W jego dzieciństwie jeszcze uporzątkową zarodki niezłomnej woli, w jego chorobliwej ambicji ujawnia się spaczona i przewrażliwiona wprowadzie, dzięki anormalnym stosunkom rodzinnym, ale niezłomne poczucie godności osobistej. Wypowiadając walkę swoim bezwiednym krzywdzicielom o własne prawo do istnienia, w zaślepieniu bojowym przekreśla ich prawo do indywidualnego życia erotycznego.

Franek jest typowym produktem stulecia dziecka, kandydatem na „pożeracza”, któremu życie stępiło wprawdzie kły i pazury, ale zaostriżyło apetyty. Jeżeli we Franku budzi się oburzenie i wstręt na widok

brutalnych zalotów ojca, jeżeli buntuje się przeciw kokietyrnyjnym wysiłkom matki, to nie tylko ze świadomych pobudek etycznych, ale w podświadomym przekonaniu, że to on powinien być osią ich zainteresowań, alfą i omegą ich życia. Tymczasem czuje się „zawalidrogą”, przeszkodą do zdobycia przez nich osobistego, w jego oczach zakazanego, szczęścia.

Jest to zjawisko niemal symptomatyczne, że dzieci rodziców rozwiedzionych, zwłaszcza, gdy ci rodzice wstąpili w powtórne związki małżeńskie, starają się same jaknajprędzej uwić sobie własne gniazdo. Działa tu niezaspokojony instynkt rodzinny. Dziecko, którego rodzice się rozwiedli, choćby najbardziej przez tych rodziców kochane, naprawdę nie ma domu, czuje się istotą samotną, wydziedziczoną, wyrzuconą poza nawias czułości rodzicielskiej. I za wszelką cenę pragnie przełamać to zakłętą koło samotności, stać się „posiadaczem” własnego ogniska, stworzyć sobie choćby surogat domu. I z rozpaczą tonącego chwyta się pierwszej miłości, jak deski ratunku.

W myśl tej naturalnej konieczności psychologicznej postępuje i Franek. Jego pierwsza poważna miłość zbiega się przypadkowo z ostatniem erotycznym załamaniem się matki. Od upadku chroni ją budzące się raptem poczucie odpowiedzialności moralnej wobec syna. I choć nie dochodzi między nimi do całkowitego rozwiązania konfliktu, czujemy, że na tej właśnie płaszczyźnie możliwe jest wzajemne porozumienie tych dwojga: matki, likwidującej swoje rachunki życiowe, i syna, otwierającego dopiero swoje zdobywcze konto.

Metoda, jaką posługiwała się autorka przy przedstawianiu faktów, nie jest jednolita. Zrazu każe nam patrzeć na wszystko oczami Franka. Później ulega jednak pokusie głębszego wniknięcia w psychologię kobiety, niezaspokojonej erotycznie, trawionej głodem miłości, a już starzejacej się. Punkt widzenia przesuwają się od Franka do matki i zpowrotem. Tą drogą osiąga się wielostronność oświetlenia, ale zatracają jedność kompozycyjną powieści. Prokuratorskie, może nieco oschłe i fanatyczne stanowisko Franka ulega odciążeniu i zmiękczeniu przez wprowadzenie pierwiastka kobiecości bezbronnej, gotowej do ustępstw, chwiejnej wskutek braku zdecydowanego pionu moralnego.

Problemat stosunków rodzinnych z punktu widzenia dzieci w okresie dojrzewania poddany jest ostrej rewizji w „Pierwszej krwi” Ireny Krzywickiej. Debiutująca w tej powieści autorka wykazała wybitną skłonność w kierunku badań nad duszą podlotka i wyrostka, badań, prowadzonych z bezwzględną żądzą dokopania się prawdy, bez lęku przed obalaniem uświęconych tradycją aksjomatów wychowawczych, czasem aż do absurdu. Przeżycia dorosłych, wplecione epizodycznie i luźno ze sobą związane, stanowią tu tylko niezbędne tło i bodziec dla tajemnych, tragicznych nieraz szarpań się i załamań dusz dzieciennych.

„Jakże kłamliwe jest pojęcie „szczęśliwego dzieciństwa!” — stwierdza autorka. „Dziecko otrzymuje mniej zadrażeń z zewnątrz, niż dorosły, ale też jest mniej przeciw nim uzbrojone; najmniejsze uklucie przenika w samą głąb miękkiej, nieodpornej psychiki. Wszystkie najważniejsze źródła cierpienia — ambicja, żądza władzy, najdalej posunięte poczucie własności, niepohamowana intelektem uczuciowość, — wszystko to jest w dziecku w stanie pierwotnym, nieokielznanym. Nie umie ono jeszcze istnieć na wielu planach, działać w wielu kierunkach, czuć w różnych płaszczyznach. Nie umie uciec przed sobą w inne wa-

runki życia, w inne zainteresowania, w pracę. Jest całkowicie wydane na pastwę swoich uczuć, jest bezsilne wobec siebie i wobec życia”.

Okres dojrzewania — to moment starcia się w duszy dziecka dwóch wrogich sobie potęg: miłości do rodziców z budzącym się instynktem seksualnym.

„Czemu zapominamy tak prędko, jak ważną, bolesną i palącą sprawą był dla każdego z nas stosunek do rodziców? Ile poszło na to energii i sił duchowych, i to, czy rodzice byli źli, czy dobrzy, czy się ich kochało, czy nie! I raczej mniej się cierpiało, jak zwykle, gdy mniej było miłości”.

„W wieku dojrzewania wypala się miejsce dla potężnej siły erotycznej, która całą istotę poderwie z miejsca. Wówczas z okrutną zaciekłością dziecko niszczy, lub przynajmniej umniejsza dawne potężne uczucie, przeznacza mu najkonieczniejszy tylko zakres, wychodzi z tej monomanji, która okazałaby się za wyłączna, za przytłaczająca dla dorosłego człowie-

ka. I wtedy następuje okres buntu, walki, przewycięzania i pomniejszania dawnej straszliwej miłości”.

Powieść, w konstrukcji wadliwa, w szczegółach fizjologicznych niepotrzebnie wyjaskrawiona, zawiera jednak wiele cennych spostrzeżeń z dziedziny psychologii dziecka. Noc małej Jasi, która z dziecka wyrasta na kobietę — to może jedna z najciekawszych w naszej literaturze kart, poświęconych udrękom i zwątpieniom młodych umysłów. Jest to niewątpliwie owoc czujnej introspekcji, — nie beletrystyka, ale studjum psychofizjologiczne. I dlatego przydać się może przedewszystkiem rodzicom i wychowawcom, pragnącym skontrolować swoje systemy pedagogiczne i przekonać się, jak silnie dzieci reagują na postęпки dorosłych, jak mało świat wewnętrzny własnych dzieci znany jest rodzicom.

Takie „bunty młodzieży“, choćby w powieści, są nieraz cenną rewelacją dla tych, którzy przyszłość i rozwój tej młodzieży trzymają w ręku.

Stefan Podhorska-Okolów.

WYSTAWA WIOSENNA U BARYCZKÓW

Instytut Propagandy Sztuki dał nowy dowód swej żywotności wystawą wiosenną u Baryczków.

Wystawa składa się z trzech odrębnych działów, każdy o odmiennem znaczeniu artystycznym. Pierwszy dział — to kolekcja portretów Marszałka Piłsudskiego, gdzie zgromadzono prace po większej części znane, poczynwszy od epoki legjonowej (świetny rysunek Antoniego Kamińskiego) aż po dobę dzisiejszą. Wzorami specjalnie malarskimi odznaczają się dwa

doskonałe portrety Krzyżanowskiego i zamaszty wizerunek Fałata.

Z rzeźb — projekt na pomnik w Ostrowiu Mazowieckim prof. Breyera w brylowatych uproszczeniach formalnych zatracą indywidualne cechy postaci.

Tę stronę nietylko fizycznego, ale i duchowego podobieństwa uchwycił świetnie prof. Szczepkowski. Stworzył postać lekko pochyloną naprzód, wypatrującą coś w oddali, jakby gotową do wymarszu w nie-



Felicjan Kowarski: „Wędrownicy“.



Wł. Jarocki: „Dziewczyna”.

wiadomą przyszłość. Sugestywność ruchu, jeszcze niewykonanego, ale zamierzonego, jest tu nadzwyczajna.

Drugi dział — to wystawy pośmiertne prac trzech malarzy-legjonistów: Włodzimierza Koniecznego, Kazimierza Młodzianowskiego i Wilhelma Wyrwińskiego. Prace rzucane niejako na marginesie konspiracji i wojny, szkice kreślone w okopach, krajobrazy oglądane przez sieć drutów kolczastych. Świadcstwo talentów, obojętnie złożonych na ołtarzu ojczyzny, sztuce dających tylko resztki swego wysiłku, rzadkie chwile wytchnienia między jednym marszem a drugim.

Dział trzeci — to wystawa bieżąca. Druga wielka manifestacja renesansu polskiej sztuki po wystawie listopadowej. Legitymacja, uprawniająca do wejścia na arenę wszechświatową, gdzie odbywa się wyścig i selekcja najzdolniejszych, gdzie nie kierunki zwyciężają, ale talenty. Jury wystawy tą właśnie kierowało się zasadą, gwarantującą całkowitą bezstronność. Dzięki temu u Baryczków mamy wierny obraz całokształtu sztuki naszej we wszystkich jej odłamach w chwili obecnej. Raczej mamy tej sztuki same szczyty. Na wystawie wiosennej próżno szukać prac chybionych, niedociągniętych lub poronionych. Każde płótno — to dzieło dojrzałe i w rodzaju swoim dostatecznie typowe, aby mogło dać pojęcie zarówno o indywidualności artysty, jak o kierunku, który on reprezentuje.

Wszystko jedno, czy to będzie w duchu akademicko-realistycznym potraktowany portret Grombckiego, lub Borucińskiego, czy historyczne malowidło Pruszkowskiego, czy pejzaż impresjonistyczny, czy nieco dekoracyjnie stylizowane, rytmiczne w ruchu

postacie Borowskiego i Niesiołowskiego, czy romantyczne krajobrazy Kowarskiego, czy wreszcie konstrukcje nadrealistyczne Witkowskiego, Stażewskiego lub Rafałowskiego, cieszące oko samem zestawieniem płaszczyzn barwnych.

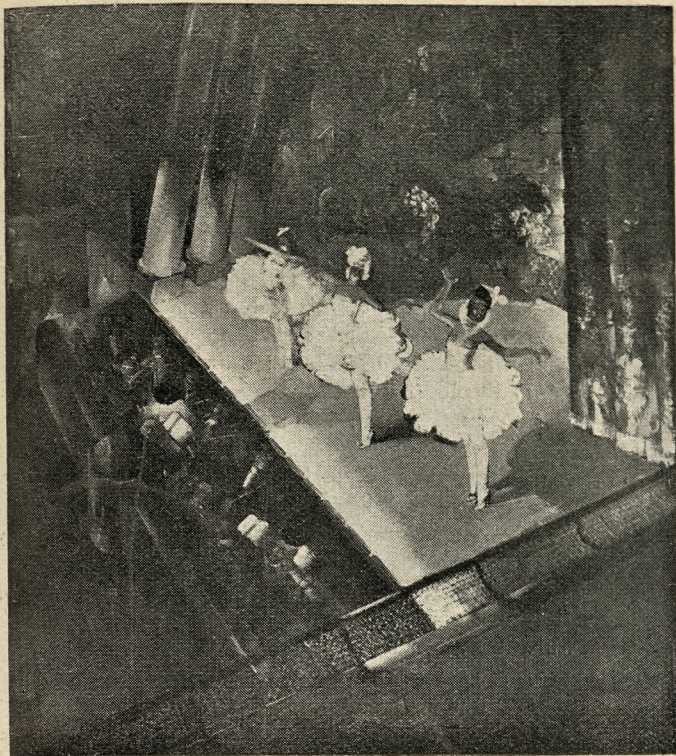
Wszystko jedno, bo przy niesłychanie zróżnicowanej skali stosunków artysty do rzeczywistości jedno jest źródło, z którego te stosunki wypływają. Źródłem tem jest wiara w naczelne stanowisko sztuki w hierarchji zjawisk życiowych.

Wszystkie prace, wystawione u Baryczków, są owocem czystego twórczego wysiłku, pozbawionego celów ubocznych, użytkowych. Sztuka jest tu celem samym w sobie. Artysta, tworząc, myślał tylko o jednym: dać pełny i możliwie doskonały wyraz swojej wizji plastycznej, utrwalić w formie nieprzemijającej znikome, krótkotrwałe zjawisko emanacji twórczej. Nie wszystkim i nie wszędzie udało się to w równym stopniu. Ale wszyscy dali z siebie to, co mieli najlepszego.

Szczupłość miejsca skłoniła jurorów do tem baczniejszej i surowszej selekcji. Gęste było sito, przez które przesiano obfity plon kilkomiesięcznej pracy najwybitniejszych artystów. Tu trzeba zwrócić uwagę na pierwszorzędną doniosłość bodziec twórczy, jakim są takie właśnie selekcyjne wystawy. Każda z nich — to niemal konkurs, rekordowa próba sił. Wyżej, jeszcze wyżej! zdają się mówić te prace, skupiające na szczupłym stosunkowo terenie intensywność wysiłku. Znajdujemy się w atmosferze wysokiego na-



Ludomir Ślodziński: „Portret”.



Wacław Palessa: „Teatr”.

pięcia, w zasięgu dynamicznych prądów, budzących nawet w najbardziej obojętnych i inercyjnych naturach silną reakcję wrażliwą.

I na tem polega najrealniejsze zwycięstwo Instytutu i najsilniejszy oręż propagandy. S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

KURSY OBRONY PRZECIWGAZOWEJ.

„Koło Pań” Obrony Przeciwgazowej, oprócz zebrania potrzebnych funduszy na wykończenie budowy Cywilnej Szkoły Obrony Przeciwgazowej, ma na celu zrzeszenie wszystkich kobiet, celem przygotowania ich, na wypadek wojny gazowej, do obrony domów i rodzin.

Żądając od społeczeństwa skromnej stosunkowo 5 złotej rocznej składki członkowskiej, „Koło Pań” da z tych cegiełek szkołę, a obecnie organizuje Kursa o obronie przeciwgazowej. Kurs taki składa się z trzech wykładów, po 2 godziny każdy, i obejmuje zasadnicze punkty obrony przeciwgazowej. Zapisy przyjmuje Sekretarjat „Koła Pań” (Chmielna 27, godz. 12 — 14-ta).

„Koło Pań”, nawołując do zrzeszenia się w celu zorganizowania samoobrony, dalekie jest od zakłócania spokoju społeczeństwa rzucaniem haseł o konieczności przygotowania się do wojny przeciwgazowej. Wprost przeciwnie: umiejętność obrony może jedynie odsunąć możliwość wojny.

OPIEKA NAD DZIEĆMI W LIDZE NARODÓW.

Na ostatniem zebraniu Rady narodowej Polek omawiano wobec zbliżającej się sesji genewskiej komitetu walki z handlem kobietami i dziećmi oraz komisji opieki nad dziećmi, oba te zagadnienia.

Drugie referowała sędzia W. Grabińska, zaznaczywszy na wstępie, że celem komitetu opieki nad dziećmi przy Lidze Narodów jest zbadanie obecnego stanu rzeczy we wszystkich krajach oraz opracowanie projektów konwencji międzynarodowych w zakresie opieki nad dzieckiem (repatriacja nieletnich, opieka nad dzieckiem, pozostającym na obczyźnie i t. d.). Komitet opra-

cowuje, m. in., sprawę egzekwowania zobowiązań alimentarnych od ojców, przebywających w innym kraju, niż dziecko.

Drugą aktualną kwestją, co do której komitet zbiera materiały, są prawa dzieci nieślubnych. Wysunęła się tu na plan pierwszy sprawa poszukiwania ojcostwa. W naszym kraju kwestja ta jest skomplikowana przez to, że dotychczas nie mamy kodyfikacji ustaw, obowiązujących na terenie b. 3 zaborów.

Z kwestją dzieci nieślubnych łączy się akcja, mająca na celu ułatwienie emigrantom zawierania małżeństw, a więc pomoc w wyrabianiu potrzebnych dokumentów, ułatwienia formalne.

Referenci zwrócili tu uwagę na broszury niemieckie i artykuły, omawiające okropny los dzieci nieślubnych polskich na terenie Niemiec (głównie Prus). Około 26.100 dzieci polskich, jak stwierdzają te źródła, są tam pozbawione nazwiska, szkół, opieki. Były przypadki, że tragiczne macierzyństwo kończyła nieśczęsna matka samobójstwem.

Dola dzieci nieślubnych w Polsce też jest stokroć gorsza, niż w innych krajach, o czym świadczą cyfry ich śmiertelności, dochodzące u nas do 75 proc., gdy np. w Paryżu 20 proc.

Komitet opieki nad dzieckiem przy Lidze Narodów zajmuje się przeprowadzeniem ułatwień dla adoptacji dzieci, sprawą ich uprawnień, kwestją spadku po rodzicach nieślubnych itp.

Poza temi sprawami komitet zajmuje się gorąco dola dzieci niewidomych, sprawą opieki społecznej w tym zakresie, metodami nauczania i udostępnieniem im studjów wyższych.

W zakończeniu swego referatu sędzia Grabińska podkreśliła, że w dziedzinie opieki społecznej nad dziećmi Polska nie stoi w tyle za innymi krajami. Jedynie ogólny nasz kryzys finansowy nie pozwala nam rozbudować dostatecznie tej opieki według dawno opracowanych projektów.

KOBIETA W PAŃSTWOWEJ RADZIE GOSPODARCZEJ.

Pani Maria Jecker z Akwizgranu, przewodnicząca Niemieckiego Związku Stowarzyszeń Pań Domu weszła do Państwowej Rady Gospodarczej w Niemczech.





MISTRZYNI GOTOWANIA.

Na konkursie wykwintnego gotowania w Berlinie w grupie pań domu palmę pierwszeństwa zdobyła pani Claus. Okazuje się, że i dyletanka może być artystką w swoim fachu, jeżeli zamięlowanie poparła doświadczeniem.

KRÓLEWNA CHŁOPKÓW.

Księżniczka Ilena rumuńska, bardzo popularna wśród ludu, z którym chętnie przebywa, prowadzi ożywioną rozmowę z grupą wieśniaków besarabskich.



WALNY ZJAZD ZJEDNOCZENIA KOBIET SŁOWIAŃSKICH

odbędzie się w Krakowie, dnia 19 kwietnia 1931 r. w lokalu T. S. L. (ulica św. Anny L. 5).

Przy tej okazji przypominamy, że celem Zjednoczenia jest zapoznanie się i zbliżenie wzajemne narodów słowiańskich na polu kulturalnym i społecznym oraz dążenie do zachowania i rozwoju swoistych kultur słowiańskich.

Środkami dla urzeczywistnienia celów powyższych mają być:

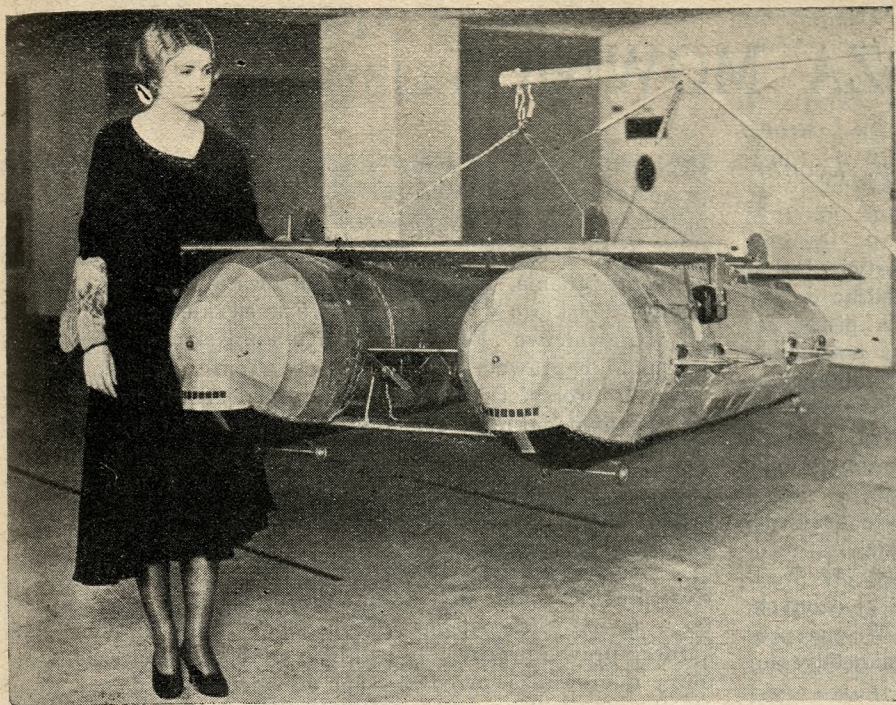
- a) zakładanie kół na terenie całej Rzeczypospolitej Polskiej i w środowiskach polskich zagranicą;
- b) utrzymanie ścisłego kontaktu z organizacjami słowiańskimi tej samej ideologii w innych państwach;
- c) organizowanie zebrań i zjazdów krajowych i ogólnosłowiańskich;
- d) szerzenie znajomości języków słowiańskich, życia umysłowego, ekonomicznego i społecznego narodów słowiańskich;
- e) wymiana i propaganda wyrobów ludowych i swojszczyzny wogóle;
- f) urządzenie odczytów, przedstawień i pogadanek informacyjnych i propagandowych oraz wystaw;
- g) wydawanie pism odośnych;
- h) urządzenie i ułatwianie wycieczek do krajów słowiańskich, wymiana młodzieży;
- i) propagowanie idei Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich zapomocą prasy.

Inicjatywa założenia takiej organizacji podjęta była przez polki w Moskwie, jeszcze przed wojną, a poparły ją gorąco liczne działaczki polskie, z Marją Dulębianką i Marją Konopnicką na czele, entuzjastycznie zaś przyjęły ją czeski.

Projekt ten z winy trudności formalnych nie został urzeczywistniony. Dopiero po wojnie Jednota Slovanskych Zen zwołała w roku zeszłym w Pradze Czeskiej kongres, tej sprawie poświęcony, a Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet delegował na Kongres ten pp. Jadwigę Grudzińską i Hannę Hubicką. Na kongresie tym ustalono, że następny wszechsłowiański kongres odbędzie się w Warszawie w maju 1931 roku.

Na zjeździe lutym w Krakowie przedyskutowano i ostatecznie uchwalono statut Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich w Polsce.

Niedawno odbyło się zebranie Zjednoczenia Kobiet Słowiańskich w Warszawie, które wybrało Komitet Organizacyjny Kongresu Wszechsłowiańskiego, mającego się odbyć w maju w Warszawie.



KOBIETA KONSTRUKTORKA.

Panna Jane Casler, inżynier, przedstawiła w amerykańskim urzędzie patentowym model podwójnego statku powietrznego, zapewniającego szybkość komunikacji i bezpieczeństwo podróży.

WĘGIER O POLKACH.

Działalność i martyrologja kobiet polskich w służbie ojczyzny.

Pod tym tytułem wielki przyjaciel Polski i działacz społeczny p. Jan Tomcsanyi wygłosił odczyt w ostatnich dniach marca w Budapeszcie celem bliższego zaznajomienia członków Narodowego Związku Kobiet Węgierskich z wzniosłą rolą polek.

Po naszkicowaniu tła historycznego od powstania Kościuszki do czasów najnowszych, prelegent przedstawił postaci Emilji Platerówny, Antoniny Tomaszewskiej, Marji Raszanowiczówny, Klaudyny Potockiej, Hoffmanowej, Katarzyny Sowińskiej, Narcyzy Żmichowskiej.

P. Tomcsanyi zobrazował następnie potajemne nauczanie dzieci przez kobiety polskie, organizację tej akcji patriotycznej, na tak szeroką skalę prowadzonej, oraz służbę w związkach strzeleckich i P. O. W., za które to czynności czekało je przesładowanie, więzienia, Sybir, nawet śmierć.

Odczyt wywarł głębokie wrażenie na licznie zebranej publiczności.

CHCĄ TYLKO SEKRETARKI.

Zabawny fakt zdarzył się w miasteczku Kinsley, w stanie Kansas. Oto od r. 1921 urzęduje tam, w charakterze sekretarki burmistrza, panna Millner. Po czterech latach urzędowania, sekretarka poprosiła o dymisję, twierdząc, że ma za dużo pracy, a za małą pensję i że tego stanowiska za tę płacę mógłby się podjąć mężczyzna. Może i mógłby, ale, niestety, od sześciu lat żaden nie chce! Obecnie sprawa stała się tak, że i zarząd miasta nie chce już nikogo innego, prócz Miss Millner i zdaje się narzeczcie zgodzi się na podwyższenie jej poborów.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Rokowania przedstawicieli rządu polskiego z francuskim konsorcjum finansowym, w sprawie uzyskania pożyczki w wysokości miljarda franków na dokończenie budowy wielkiej magistrali węglowej Śląsk — Gdynia, posuwają się w szybkim tempie naprzód i bliższy już jest termin ich pomyślnego zakończenia.

Nowa linia kolejowa wyłączona zostanie z administracji ogólnej kolei państwowych i eksploatowana będzie przez konsorcjum polsko-francuskie, na czele którego będzie stał dyrektor polak. Również personel przedsiębiorstwa, nie mówiąc już o służbie kolejowej, będzie całkowicie polski.

Wszystkie dostawy do robót przy ostatecznym wykończeniu linii będą szły z fabryk polskich, przy budowie zaś zatrudnieni zostaną wyłącznie nasi robotnicy. Znaczenie linii kolejowej Śląsk — Gdynia dla naszej sytuacji gospodarczej i politycznej zarazem jest olbrzymie. Linia ta nie tylko skraca w znaczny sposób połączenie Śląska z morzem, co dla naszego eksportu węglowego jest doniosłe, ale również omija terytorjum Gdańska, uniezależniając

w ten sposób nasz wywóz od polakożereczych wpływów większości obecnego senatu Wolnego Miasta.

Opinia międzynarodowa w dalszym ciągu poruszona jest sprawą anszlusu celnego Austrii i Niemiec, co wywołało powszechne zaniepokojenie. W związku z zaproszeniem ministrów niemieckich na konferencję do Londynu, prasa berlińska uderzyła w ton triumfalny, głosząc o zmianie stanowiska Anglii w tej sprawie. Tymczasem Niemców spotkało przykre rozczarowanie. Oto w ostatniej niemal chwili angielskie ministerstwo spraw zagranicznych wystąpiło z propozycją odroczenia tej wizyty, i ostatecznie, jeżeli wogóle dojdzie ona do skutku, to dopiero w początkach czerwca, a więc po sesji Ligi Narodów, na której sprawa anszlusu będzie szeroko omawiana.

Taki stan rzeczy jest wybitnie nie na rękę Niemcom, to też w prasie berlińskiej wyczuwa się silne, choć starannie maskowane rozgoryczenie. Francuski minister spraw zagranicznych Briand poczytywany jest za sprawcę tego wysoce kompromitującego dla Rzeszy „odproszania”.

Wrzenie rewolucyjne, które od szeregu miesięcy trapi Hiszpanję, przeniosło się ostatnio i do Portugalji. Zamieszki rozpoczęły się na wyspie Maderze na tle walki o cła zbożowe i zataczają coraz szersze kręgi. Garnizon Madery wypowiedział posłuszeństwo rządowi i internował jego przedstawicieli. Podobno wojska, wysłane dla uśmierzenia buntu, przyłączyły się do powstańców.

Ruch rewolucyjny ogarnął następnie i wyspy Azorskie, a ostatnio podniesienie się temperatury politycznej daje się zauważyć i w samej Portugalji. Wobec prowadzenia ścisłej cenzury, wiadomości przedostają się tylko w ograniczonej liczbie. Według ostatnich depeesz rząd portugalski przeniósł się z pałacu Rady ministrów do koszar jednego z pułków artylerji w Lizbonie i tam obraduje nad sytuacją.

Na bankiecie w Nicei prezydent Republiki Francuskiej Gaston Doumergue, który w maju r. b. ustępuje z zajmowanego urzędu, wygłosił wielką mowę polityczną. Przypomniawszy ciężkie ofiary, jakie poniosła Francja podczas wojny, Prezydent dał wyraz powszechnym tendencjom pokojowym wśród społeczeństwa francuskiego, podkreślił jednak z całą stanowczością, że stan liczebny armji i floty Francji jest najlepszą gwarancją utrzymania pokoju.

Mowa ta wywołała wielkie wrażenie i powszechnie jest komentowana, jako wyraz poglądów gabinetu francuskiego na ostatnie posunięcia na arenie międzynarodowej i kwestję rozbrojenia.

NASZA MÓWNIKA

O polskość Podola (w odpowiedzi p. Leonardzie W.)

W artykule „O polskość” pani Leonarda W. stwierdza, że z polsnością na wsi podolskiej jest źle, a przechodząc do roli różnych czynników społecznych w tym zakresie, pisze: „są okolice szczęśliwsze od tych, które zamieszkują; tam, gdzie polsnością ludności opiekuje się obywatelstwo lub księża, w rzadkich wypadkach nauczyciele. Ci ostatni jeszcze są, że tak powiem, na austriacką modłę, wypełniają swój zawód ściśle według programów; pozatem nie wiedzą, czy ich uczeń umie się po polsku podpisać”.

Czy Sz. autorka zastanowiła się nad tem, że krzywdzi takim określeniem całą warstwę ludzi najbardziej zapracowanych dla polskości? Ludzi, dla tej wielkiej idei, już przed wojną, za austriackich czasów, prześladowanych i głodzonych, właśnie przez swych własnych braci... Czy Pani W. zna programy szkół powszechnych? Zapewne nie, bo uniknęłaby tej nielogiczności w ostatnim zdaniu!

A czy, rzucając to oskarżenie w stronę znękanego pracą i gruźlicą nauczycielstwa i przeciwstawiając jego rzekomo bezwartościowej pracy dla polskości, pracę innych, zastanowiła się nad istotną pracą społeczno-oświatową jednych, drugich i trzecich? czy wniknęła w historję tej pracy, bodaj od 20 czy 30 lat? Czy poznała ją na szerszym, podolskim terenie w dobie obecnej? Wierzę w to, że nie, bo w przeciwnym razie nie postawiłaby takiego zarzutu nauczycielstwu, które, nie bacząc na warunki pracy, podnosi wytrwale oświatę ludu.

Ale wejdźmy w arkana faktów i cyfr, dotyczących pracy oświatowej pozaszkolnej (szkolną pracę wykonujemy, według Szan. autorki, ściśle podług programów, a więc wzorowo), pracy, dokonanej przez nauczycieli na terenie Podola. A więc, na podstawie urzędowych danych (Min. W. R. i O. P.) w woj. lwowskim w roku szk. 1928/29 były w 13 miejscowościach (powiaty: Drohobycz, Jarosław, Krosno, Lisko, Przemyśl, Sarnok, Lwów-miasto) szkoły dla dorosłych, obejmujące 38 kursów różnych stopni, o 953 słuchaczach. Kto uczył na tych kursach? Nauczycielstwo. Za co pracowali? Za małą opłatę, lub zgoła za darmo (24,6 proc. bezpłatnie). Kto prowadził te kursy? — 20 nauczycielstwo, 15 Rady Szkolne, a 3 organizacje społeczne (w których znowu nauczyciel jest zwykle osi!).

Kto pokrył koszty? w 12 nauczycielstwo, a w 17 samorządy. Nauczycielstwo, które czwartą część kursów prowadzi bezinteresownie, ponosi jeszcze 23 proc. kosztów utrzymania, a resztę państwo i samorząd.

Podobnie przedstawia się sprawa w dwu dalszych województwach Podola.

To są dane, urzędowo stwierdzone. Gdzież w tej pracy kryje się tak zachwalana praca dla polskości innych, wyróżnionych przez autorkę, stanów?

A jeśli to wszystko mało, to jeszcze parę cyfr, dotyczących nauczycieli, zorganizowanych w Ogniskach Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ognisko Lwowskie: 135 naucz. pracuje na kursach oświatowych, 148 w towarzystwach oświatowych, 312 w Kołach Młodzieży, 79 w organiz. Przysposob. Wojskowego, 89 w chórach i orkiestrach włościańskich, 312 w kółkach rolniczych, 78 w Strażach Pożarnych, 130 w Radach Gminnych.

Ognisko Tarnopolskie: 75 kursów dla dorosłych (1719 słuchaczy), 149 odczytów, 74 bibliotek, 107 czyteln, 183 przedstawień teatralnych, 51 chórów, 9 orkiestr, 4 kursy instruktorskie dla pracowników oświat.

A w całej Polsce to zorganizowane nauczycielstwo urządziło w latach 1928 — 30: 2305 kursów dla dorosłych (63.000

słuchaczy), 15338 odczytów i pogadanek, 2348 bibliotek, 8839 przedstawień teatralnych, 861 chórów, 484 orkiestr, 38 kursów instruktorskich oświaty pozaszkolnej.

Tyle zarejestrowano. A iluż poprostu czasu nie miało na sprawozdania, albo je zbagatelizowało? Związek Nauczycielstwa Polskiego wyręczył państwo w ciężkich chwilach, przejął wydawnictwo „Polskiej Oświaty Pozaszkolnej” i prowadzi je, mimo naprawdę ciężkich czasów. Tenże Związek zorganizował Uniwersytety Ludowe (Szyce, Nałęczów), prowadząc je we własnym zakresie działania wzorowo; swój własny majątek Brody (pod Krakowem) przeznaczył na kursy (6 miesięczne) społeczno-rolnicze, gdzie nauczyciel, ten najważniejszy działacz społeczno-oświatowy na wsi, przygotowuje się poważnie do swej pracy.

To też widzimy z tego małego rzutu oka, że nauczycielstwo pracuje ponad siły, że pracuje ofiarnie. A dowodem tego też i ta jego nieodstępna przyjaciółka: gruźlica płuc, która każdego prawie pracownika na niwie szkolnej i społeczno-oświatowej doprowadza przedwcześnie do wiecznego, dobrze zasłużonego spoczynku.

Proszę więc bardzo Szan. Autorkę, by zechciała najpierw zapoznać się z pracą naszą, a potem dopiero wydawała o niej sąd.

Grabowski Kazimierz.

Ile wydawać*)

Zabierając głos w sprawie budżetu rodzin mało zarabiających, podaję, stosownie do wezwania „Bluszczu”, przykład konkretny takiego budżetu.

Mając 300 zł. miesięcznie, należy wynająć mieszkanie nie w Warszawie, lecz pod Warszawą; tam za pokój z kuchnią zapłaci się 50 — 60 zł. miesięcznie. Jazda do Warszawy będzie kosztowała, dla paru członków rodziny, około 40 zł. mies.; utrzymanie 180 zł. (liczę około 3 zł. dziennie); opał i światło w zimie 30 zł.; ubranie 40 zł.; mydło i mała pomoc w praniu 10 zł.; drobne wydatki i prenumerata dziennika 10 zł.; nieprzewidziane wydatki i ubogim 10 zł.

Nie liczę usługi, bo mając tak mało, trzeba się obsłużyć samej.

Podziwiałam nieraz elegancką, młodą osobę, żonę profesora gimn., która, nie mając służącej, utrzymywała dom we wzorowym porządku, gotowała obiady, myła naczynie, uwijała się z tem wszystkim nadzwyczaj prędko, obszywała troje dzieci, męża i siebie, a przy tem wszystkim rączki miała zawsze ładne i starczyło jej jeszcze czasu na czytanie.

Znam i inną, która także tak pracuje, bo chociaż mąż ma dużą pensję, ale dzieci jest 8-ro i na wszystko trzeba wystarczyć. Przytem zawsze jest wesola i zadowolona.

Nie jest więc niemożliwe zastosowanie się do tego, co się ma. Zaciąganie długów, bez możliwości spłacenia ich, byłoby nie tylko burzeniem spokoju domowego, ale nieuczciwością. Proszę mi darować, że nazywam rzeczy po imieniu, ale wszak mamy mówić otwarcie i czyż nie chodzi nam o czystość rąk, o wysoki poziom etyczny wszystkich polaków i polek.

S. Cz.

*) Budżet niniejszy podajemy, aczkolwiek budzić on musi liczne zastrzeżenia; przedewszystkiem Sz. Autorka nie podaje liczby członków rodziny: dla ilu osób starczyć ma 3 złote dziennie na życie i 40 zł. miesięcznie na ubranie?

NIE TRZEBA ŻAĆ ZA WIELE...

Jeżeli masz już kawałek dachu nad głową, nie wyrzekaj: mogłoby być znacznie gorzej!

Nie wyrzekać? Jakże to łatwo powiedzieć temu, kto przywykł układać do snu skołatana głowę pod kawałkiem dachu, objętym ochroną lokatorów, lub zrośł się tak nierozdzielnie z sublokatorską niedolą, że nie myśli nawet o jakiejś realnej zmianie régime'u!

Ale... Ale są i tacy, którzy znają odwrotną stronę błyskotliwego medalu, tacy, którzy zdobyli wreszcie nowoczesne mieszkanie, których pasowano na rycerzy postępu, co cieszą się komfortem, plein air'em, są *kolonistami*.

Przykre, zaiste, jest uczucie człowieka, spadającego z obłoków, a jednak los słusznie chłosta tych, którzy odwracają się z pogardą od tego, co było szczytem *zstępnym pokoleniom*, kusząc się o eksploataowanie nowych terenów.

To też pionierzy, dążący wzwyż, nierzadko padają w pół drogi, własną ugodzeni bronią. Bo — nie wszystko złoto, co *kolonialne*.

Pani N. J. w dwu następujących po sobie artykułach: „Nauczmy się mieszkać” — zobrazowała niedolę starej i braki nowej Warszawy.

Szaremi barwami malowany obrazek przeszłości wypadł wyraziście: znać, że autorka więcej cierpiała przez „krępujące wygody”, kuchnie „z zasady” niegrzejące, brak powietrza, widok i zapach śródmiejskiego podwórka, niż przez *brak* prawidłowej, cywilizowanej komunikacji, odmienny klimat, błotniste bajory, przewiewność, akustykę i komfort nowoczesnych lokali.

Moja Szanowna Koleżanka, pomimo to, że zrosła się sercem ze starą Warszawą, czuje — jak czujemy zresztą dzisiaj my wszyscy — sentyment do kolonij i chociaż krytykuje, stawia słuszne zarzuty, martwi się tem, że nie jest tak, jak być powinno — nie wie jeszcze, co leży na dnie „kolonizacji”, bo smak tego osadu znają tylko ci, którzy znieśli linję demarkacyjną pomiędzy ustami, a brzegiem puharu.

A jest ich legion, tych wyzwolonych, tych, co karczują puszcę i gromadzonemi mozolnie setkami splacają cudze prawo posiadania, wędrując latami z piętra na piętro, z dzielnicy do dzielnicy, powtarzając sobie na pocieszenie, że przecież w życiu nie trzeba żądać za wiele...

A tymczasem to życie, codzienne, powszednie, uwiera, jak niewygodny, niedopasowany do nogi bucik. Najboleśniej nagniotkiem jest właśnie sprawa mieszkaniowa. I to nawet nie cena mieszkania, a to, co za *tę cenę* przypada nam w udziale.

Bo niechże one sobie będą drogie, te wymarzone, nowoczesne mieszkania z rozległym widokiem, rozciągającym się przed oknami; bez pluskiew, gnieździących się w szczelinach spękanych murów; bez hałaśliwych podwórek — królestwa domokrażców; bez ciemnych, wyposażonych w węglowe piece, łazienek; bez kuchni o podłogach drewnianych, zoranych stopami licznych pokoleń; bez szeregu uśmiechów przeszłości, co znała przecież prawo równowagi, bo, dając mało, żądała niewiele.

Ale my płacimy w stosunku do starych lokali i, co gorsze, w stosunku do przeciętnego uposażenia inteligenta, sumy! Bierzymy na siebie nieomal, że całkowity ciężar wyrównania należności, przypadających kooperatywie od właściciela mieszkania, a trze-

ba wejrzeć i w to, co za to dostajemy, aby móc wypowiedzieć się lojalnie w tej sprawie.

Zaczyna się zawsze od kuszących obietnic. Wszystko ma być wykonane *najdalej* za parę tygodni. I klatka schodowa, i otoczenie dokoła willi, czy domu, i drobne lub duże braki, niedociągnięcia wewnętrznych urządzeń. Jeżeli dom stoi wśród pozostałych po budowie gruzów, można zgóry przysiąc, że nie upłynie miesiąc, a zazielenią się dokoła trawniki, zakwitną róże; okraglaki, uwierające stopy, znikną, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zastąpione betonowymi płytami. Maluczko, a obiecać gotowi, że słońce zmieni kierunek, ogrzeje i rozweseli mroki północnych pokoi, a tych, co pokusili się ubiegłej wiosny wynająć mieszkania na kolonji Lotniczej (Wierzbno — 15 minut dobrym krokiem od ostatniego przystanku tramwajowego), zapewniano (autentycznie!), że linja tramwajowa zostanie najpóźniej w ciągu lata przedłużona, czyli, że przystanek będzie na miejscu.

Tymczasem prawda ma zgola inne oblicze.

W solidnej, niebyłejakiej współdzielni, trzypo-kojowe mieszkanie kosztuje 350 — 375 złotych miesięcznie. Między innymi składa się z olbrzymiego frontowego pokoju, o północnej wystawie. Okno zajmuje trzy czwarte ściany, a dopasowane jest tak, że kurz uliczny, kopeć z sąsiednich kominów, deszcz i śnieg są stałymi współtowarzyszami mieszkańców. O tem, jaka jest w tym „salonie” temperatura, szczególnie przy mrozie, lub wietrze, mówić można tylko realnie, przeliczając ją na sumy rachunków, płaconych za koks i węgiel.

Hall nieogrzewany pochłania minimalną dozę osiągalnego ciepła; w przedpokoju wieje od drzwi wejściowych tak, że radiator jest pieśnią bez słów; żadne drzwi się nie domykają; wygody mogłyby być „nie krępujące”, gdyby nie to, że stoją dosłownie otworem, bo drzwi nawet na haczyk (coż dopiero na klucz, albo zasuwkę!) zamknąć nie można. Automataczne otwieranie drzwi, prowadzących z bramy na schody, obliczone na wygodę mieszkańców, wydaje wprawdzie triumfalne odgłosy, ale nie działa; śpiżarki — ani śladu; jedyna szafka w murze kuchennym jest wyposażona na całą wysokość w rozpaloną przez dzień cały rurę od centralnego ogrzewania; łazienka ciemna, w niej piec centralny; służbowego pokoju brak; akustyka zato taka, że każde słowo, każdy ruch sąsiadów bezpośrednich, czy odgraniczonych piętrami, roznosi się echem po wszystkich lokalach.

Mury nieotynkowane, bo zbrakło pieniędzy; klatki schodowe wołające o pomstę do nieba, z poobijanymi, brudnymi ścianami, prowizorycznymi poręczami; przed domem ani śladu chodnika; kobierzec z okraglaków; na podwórzu skład budowlanych pozostałości, a jeżeli pokusi się kto wbić w ścianę szpilkowy haczyk, gruzy sypią mu się do stóp w kornym hołdzie.

Pomimo to wszystko posadzki nie tracą humoru, śmiejąc się za lada dotknięciem ludzkiej stopy, niczem czuła na lechotki wiejska dziewczyna w czasie parobczyńskich zalecanek.

Świeżo upieczony *kolonista*, przewożąc swoje lary i penaty ze śródmieścia na kulturalne peryferje, marzy sobie aksamitną dolę. Nareszcie będzie żył, jak ludzie Zachodu, nabierze też zachodnich manier i przyzwyczajęń. Na pierwszym planie radosny powrót ze zgiełkliwego śródmieścia do ciszy domowego ogniska, przed którego oknami, niestety, kilka razy dziennie toczy się z jękiem i sapaniem astmatyczny, wyrzucający kłęby cuchnącego dymu, pseudo-paro-

wóz, ciągnąc za sobą niezliczoną ilość zgrzytających po szynach wagonów.

Po krótkim czasie ze wszystkich śnionych rozkoszy, z całego *uprzywilejowania* kolonisty zostaje tylko garść popiołów, a z różowych okularów, przez które patrzył na swoje nowe życie — smutne szczątki.

Pomimo, że jeździ folblutami (tramwaje 25 i 17), patrząc z pogardą na podkasane, pozbawione rasy przeżytki (czytaj: stare wagony elektrycznej kolei miejskiej), zaczyna mu ciężać kamieniem, w pracowitym dniu powszednim, półgodzinna odległość od centrum, a w czasie tych długich tam i z powrotem podróży nie brak mu czasu na porównania i rozmyślanie.

Może niejednen zawróciłby chętnie z drogi, gdyby gehenna przeprowadzki i niepowrotność raz postawionego kroku nie miały w sobie pierwiastków przepaści, wykopanej pomiędzy *złem* wczoraj, a *niedobrem* dzisiaj.

A może, pomimo wszystko, zarazek kolonjalny, moda kolonjalna, kolonizatorska żyłka przeważa szalę i płaci za wszystkie zawody jakimś oszołamiącym *kolonjalnym szale*m. Bo jednak *nie wracamy* i jeżeli jest nam nawet źle, bardzo źle i bardzo drogo — myśl o zmianie pozostaje nadal w granicach *nowej* Warszawy.

Ale, dążąc ku niej i pozostając, popełniamy jeden kardynalny błąd, bo zarówno od ludzi, jak i od dzieła ludzkiego, które ma dane potemu, aby dorosnąć do wysokiego poziomu, nie wolno odnosić się pod kątem przeświadczenia, że nie trzeba od nich żądać za wiele: pobłażliwość demoralizuje. Wanda Dobrzańska.

P A W I E

Pawie są największymi i najokazalszymi ptakami z pośród naszych domowych. Pochodzą z dalekich Indyj i Cejlonu, gdzie żyją po dziś dzień w stanie dzikim. Dokładny czas sprowadzenia ich do Europy jest nieznany. W Grecji, za czasów Peryklesa, zja-

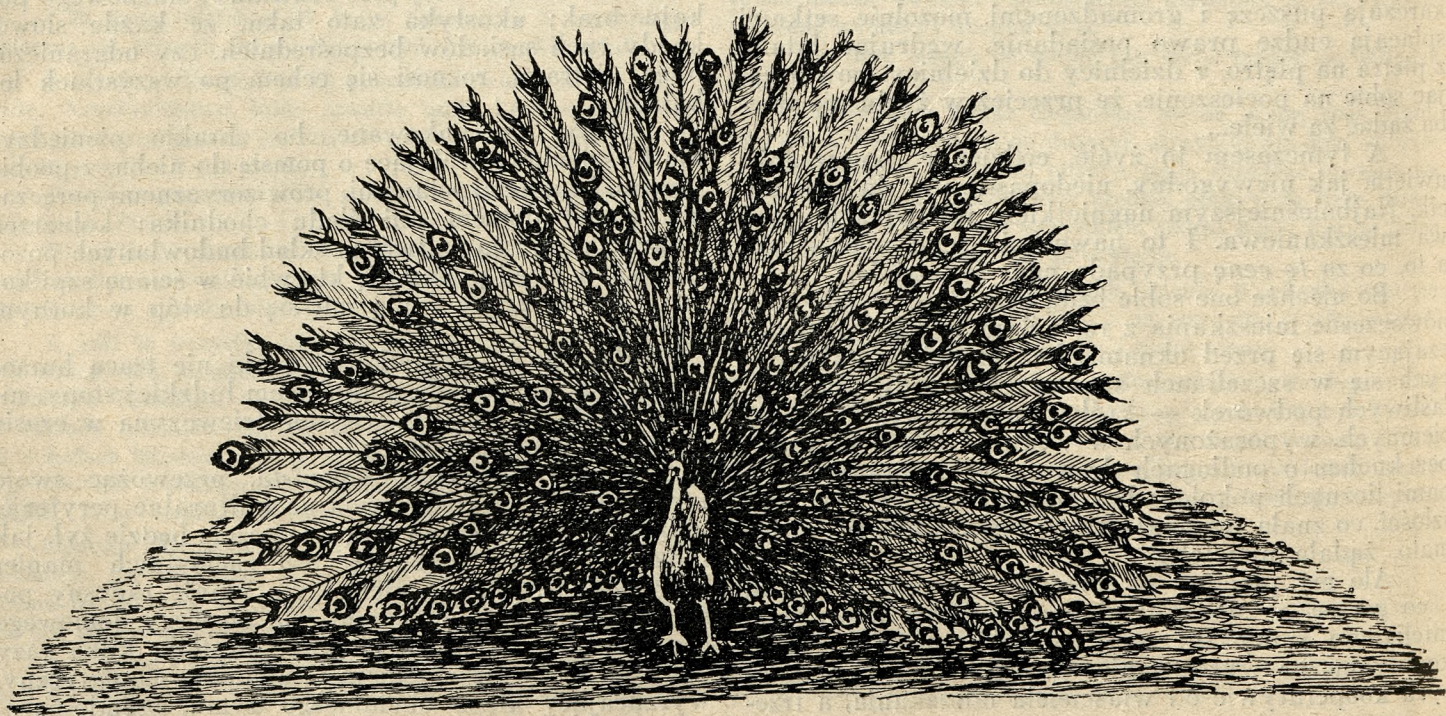
wiły się nieliczne okazy, lecz już Arystoteles uważa je za dobrze rozpowszechnione ptaki w całym kraju, zaś później jeszcze, za czasów panowania rzymskiego, tak się rozmnożyły, iż został wydany nakaz masowego tępienia tych ptaków. Za owych czasów jednym z wykwintnych dań na stole prawdziwych smakoszków były mózdzki i języki pawie. Z czasem zostały pawie poświęcone bogini Junonie i specjalnie ochraniać w ogrodach przy jej świątyni. Stamtąd prawdopodobnie z biegiem lat rozeszły się po całej Europie i dziś zdobią nasze parki, zachwycając przepychem swego upierzenia, a mięso ich potrafi zadowolić najwybredniejszych znawców kulinarnych.

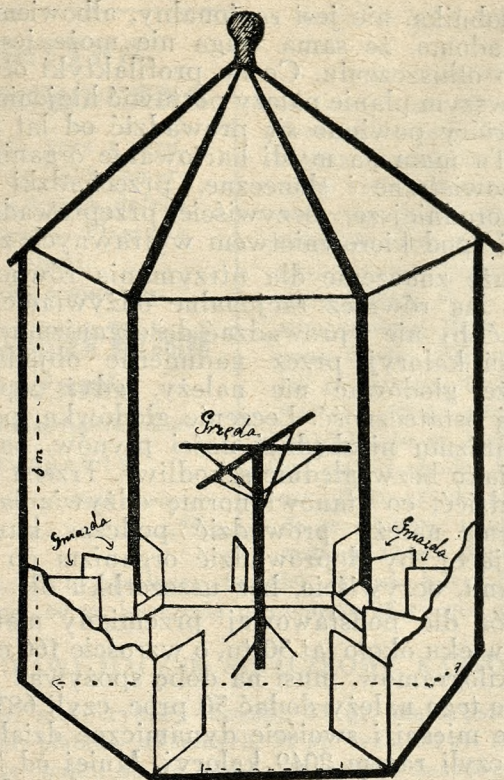
Hodowla pawi nie przedstawia wielu trudności, a traktowana racjonalnie, może się stać pokaźnym źródłem dochodu.

Jak już wyżej zaznaczyłam, pawie są ptakami dużymi, o małej głowie, zakończonych kitą, i o wspaniałym upierzeniu samców; samice są bowiem odziane znacznie skromniej. Podobnie, jak kury, pawie należą do stworzeń wszystko-żernych, nie znoszą jednak życia w niewoli, w ciasnych pomieszczeniach, lub małych podwórkach. Kto nie posiada przy domu większego ogrodu, nie powinien trzymać pawi, bo ptaki te czują się dobrze tylko na swobodzie i tylko przebywając na wolności, dosięgają pełni przepychu upierzenia. Do dobrego ich samopoczucia konieczne są również wysokie drzewa; w braku ich pawie będą przesiadywały na dachach zabudowań gospodarskich, a że to budynkom na zdrowie nie wychodzi, każdy łatwo zrozumie.

Jest jeszcze powód, dla którego nie powinno się łączyć pawi z innym drobiem. Paw uważa siebie za ptaka królewskiego, za pana reszty drobiazgu podwórzowego i za byle przewinienie (w jego mniemaniu, naturalnie) sam sprawiedliwość wymierza, bijąc i kłęcząc, co mu się tylko pod dziób nawinie. Szczególnie nie znosi małych piskląt.

Pomimo swej dzikości, pawie osławiają się bardzo łatwo. W jednym dworze spotykałam wspaniałe okazy pawi, które podczas obiadu, czy innych posiłków zjawiały się przez okno w stołowym pokoju i spokojnie zbierały okrucy.



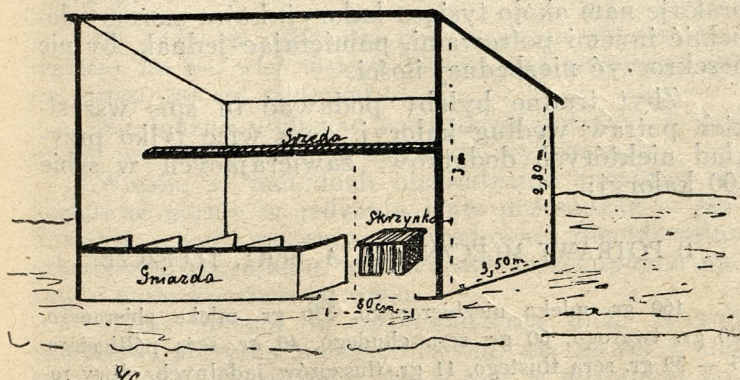


Kurnik-klatka.

W maju pawice znoszą około 10 jaj i wysiadują je same w gniazdach, usłanych z wiotkich, drobnych gałązek i suchych liści. Małe klują się po 28 — 30 dniach; podobnie, jak indyczeta, są bardzo delikatne i wymagają troskliwej pieczy; dopiero, gdy po paru tygodniach wyrosnie im kitka na łebku, stają się odporne na zmiany temperatury i wtedy już spokojnie można je samym sobie pozostawić.

Jeżeli latem i jesienią pozwalamy im używać pełnej swobody, zimą musimy im dać schronienie, czy to w specjalnie dla nich wybudowanym budynku, czy też w jakim już istniejącym w bliskości ogrodu. Z jednej strony zabezpiecza je to od dotkliwego mrozu, z drugiej daje nam możliwość kontrolowania ich niosności na wiosnę i usuwania jaj z gniazd w miarę ich przybywania. Jeżeli jaja nie bywają zabierane, pawice często już po zniesieniu sześciu nieś się przestają, okazując chęć do siedzenia.

Dla 5 pawic i 1 pawia dostateczną będzie ubiczka 9m²., musi być jednak na 3 m. wysoka i gręda powinna być wysoko umieszczona, gdyż jest to koniecznym warunkiem utrzymania piękności ogona. Okno zabezpieczyć trzeba siatką drucianą. Grzędę mi-

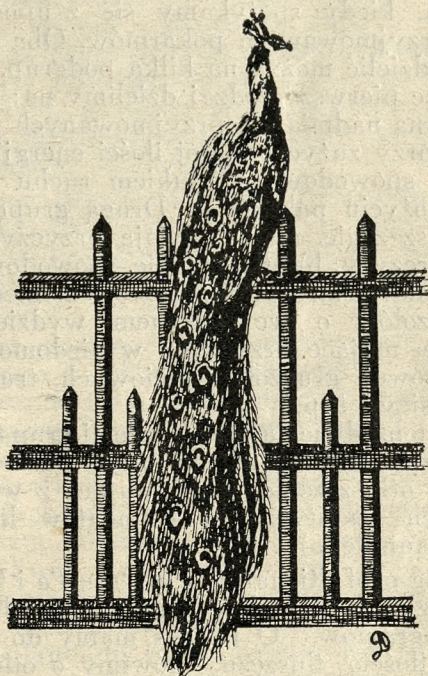


Kurnik zwykły dla pawi.

nimalnie 6 cm. szerokości, umieszczamy na wysokości 2-ch metrów, ażeby zaś pomóc pawiom dostawać się na nią, stawiamy na ziemi dużą skrzynię, która im będzie służyła za stopień. Wystrzegać się należy wszelkich drabin, bo te niszczą pióra, paw zaś znakomicie fruwa i cały szereg stopni jest mu zupełnie zbyteczny. Gdy się już umieści na grzędzie, ogon powinien zwiśać swobodnie, nie ocierając się o żadne sprzęty.

Przy ścianach umieszczamy szereg gniazd, jednak nie pod grzędą, żeby ptaki, siedzące na niej, ich nie zanieczyszczały. Gniazd powinno być tyle, ile mamy samic; na każde z nich liczyć trzeba 1 m². Boki gniazd robimy wysokie, żeby przy siedzeniu samice wzajemnie sobie nie przeszkadzały, tylko przednia ścianka może być niższa; wnętrze całego pomieszczenia i gniazda wyścielamy słomą.

O ile kto rozporządza obszerniejszym pomieszczeniem, lepiej jest robić kurnik taki z dwu ubiczaj, żeby gniazda były osobno zainstalowane. W czasie wysiadki jaj, samiec często niepokoi samice i po-



Gręda powinna być tak wysoka, aby ogon pawia swobodnie zwiśał.

woduje gniesienie i oziebianie jaj. Jeżeli są duże ubiczaje, wysiadki odbywa się spokojnie, dzięki czemu mniej strat ponosimy.

Jak w normalnym kurniku, tak i tu znajdować się powinno kryte, widne grzebalisko, najlepiej ze ściankami z siatki drucianej o szerokich okach. Tam, w czasie słoty, pawie znajdują doskonałe schronienie, a w sezonie niesienia oddzielone samce oczekują na zamknięte wewnątrz kurnika samice, póki te jaj nie zniosą.

O ile kurnik stawiamy specjalnie dla pawia, używamy do tego najlepiej materiału drewnianego, dach zaś kryjemy papą. Kształt jest zupełnie dowolny, zależny od wymagań mniej lub więcej estetycznych. Jak na rysunkach przedstawionych widzimy, może to być prosta buda (ale koniecznie widna), a może też być wielka klatka drewniana z dużymi oknami, pomalowana z zewnątrz olejną farbą, w kolorze odpowiadającym otoczeniu. W pięknych, dużych parkach, czy w ogrodach w bliskości dworów, na miejscach widocznych tylko takie budynki stać powinny.

(d. c. n.)

A. D.

JAK UNIKNAĆ OTYŁOŚCI

Przyjęto uważać za normę tuszy w kilogramach, wagę, równającą się ilości centymetrów wzrostu bez stu. To znaczy, że jeżeli wzrost równa się np. 160-ciu centymetrom — waga powinna wynosić około 60 kilogramów.

Należy jednak zawsze liczyć się z wiekiem i płcią. Istnieje nawet specjalny nomogram, ustalający wagę w zależności od wzrostu, wieku i płci.

Otyłość, czyli wagę ponad normę, spotykamy w bardzo wielu wypadkach; nie wszystkich jednak tęgich osobników należy w leczeniu traktować jednakowo. Powinno się zawsze liczyć z przyczyną i warunkami.

Zasadniczo otyłość podzielić można na dwie kategorie: 1) — tak zwana otyłość pokarmowa, mająca przebieg w warunkach normalnego spalania się w organizmie przyjmowanych pokarmów; oraz 2) otyłość tarczycowa, kiedy spotykamy się z upośledzeniem spalania przyjmowanych pokarmów. Oba te rodzaje otyłości podzielić można na kilka podgrup.

A więc pierwszy rodzaj dzielimy na: a) otyłość, spowodowaną nadmiarem przyjmowanych pokarmów i płynów, przy zużyciu małej ilości energii na ruch; b) otyłość, spowodowaną brakiem ruchu przy normalnym spożyciu pokarmów. Drugą grupę dzielimy na: a) otluszczenie, mające swoją przyczynę w niedomodze tarczycy; b) otluszczenie, spowodowane osłabieniem funkcji tarczycy ze wzrostem niedomóg innych gruczołów o wewnętrznym wydzielaniu; c) otluszczenie, mające przyczynę w niedomodze przysadki mózgowej, gruczołów płciowych, trzustki, nadnerczy, grasicy i t. p.

Po za temi dwiema zasadniczymi grupami można wskazać jeszcze na tak zwane otluszczenie dziedziczne, a także otluszczenie, wypływające z właściwości tak zwanych lipolitycznych fermentów limfocytów (według Pfaundler'a).

Według prof. Richardiere'a, Proust'a i Mathieu'a, w ciele ludzkim normalnie znajduje się tłuszczu od 2 do 3 kilogramów. O ile zaś mamy do czynienia z większą ilością tłuszczu, mówimy o otluszczeniu. Wówczas tłuszcz odkłada się w większej ilości w tkance podskórnej, w mięśniach, a także w samych narządach (serce, wątroba, śledziona, nerki i t. p.). Znajduje się wówczas tłuszcz, jako zjawisko nienormalne, około naczyń krwionośnych. Również serce i nerki mogą być kompletnie otoczone tłuszczem, przyczem naczynia krwionośne serca są jakby umieszczone w pochewce tłuszczowej, mięsień zaś serca pod uciskiem tłuszczu zmniejsza się w swej masie, przez co, oczywiście, nie może ono pracować normalnie.

Systemat nerwowy cierpi od otluszczenia stosunkowo najmniej; jednakże, jeżeli weźmiemy pod uwagę obserwacje prof. Richet'a, który znajdował tłuszcz w kanale mózgowo-rdzeniowym w takiej ilości, że płyn mózgowo-rdzeniowy pod wpływem ucisku tłuszczu wywierał ucisk na mózg — to jasnym dla nas będzie, że z otluszczeniem należy walczyć nie tylko z punktu widzenia estetyki, ale i zdrowia.

Biorąc pod uwagę wyżej przytoczone zdanie, że waga normalnie zbudowanego człowieka powinna się równać ilości kilogramów, równej nadwyżce jednego metra w centymetrach, należy zgodzić się ze zdaniem Wilkiego, że wogóle waga ta powinna być nieco wyższa. Podział otluszczenia według Le Genre'a na 3 stopnie, opierający się na ilości kilogramów

wagi osobnika, nie jest racjonalny, albowiem wszystkim wiadomo, że sama waga nie może jeszcze stanowić o otluszczeniu. Co do profilaktyki otyłości, to na pierwszym planie należy postawić higieniczny tryb życia, który powinno się prowadzić od lat najmłodszych. Tu mam na myśli hartowanie organizmu, kąpiele powietrzne i słoneczne, przechadzki i sporty najróżnorodniejsze, oczywiście przeprowadzane racjonalnie pod kierownictwem wytrawnych znawców.

Duże znaczenie dla utrzymania równowagi fizycznej ma również racjonalne odżywianie. Należy pamiętać, by nie wprowadzać do organizmu zbyt dużej ilości kaloryj przez nadmierne objadanie się. Jednakże głodować nie należy, gdyż wpadniemy w drugą ostateczność. Leczenie głodówką, pozbawianie organizmu niezbędnej ilości płynów, należy odrzucić, jako bezwzględnie szkodliwe. Trzeba też zawsze wiedzieć, co stanowi normę odżywiania i jakie odżywianie należy prowadzić podczas kuracji otluszczonej, by doprowadzić organizm do normalnego stanu, oczywiście, bez uszczerbku dla zdrowia.

Otóż dla podstawowej przemiany materji kobieta w wieku około lat 30-tu, o wzroście 160 cm. i wadze 60 kilogramów, musi na dobę spożywać 1366 kaloryj. Do tego należy dodać 50 proc. czyli 683 kalorie na prace mięśni i swoiste dynamiczne działanie pokarmu, czyli razem 2049 kaloryj. Mniej od tej ilości kobieta w warunkach wyżej wymienionych spożywać nie powinna. Nie przeszkadza to jednak, by przy normalnym odżywianiu można było przeprowadzać pewne otluszczenie.

Według Rubner'a, mężczyzna dorosły, średniego wzrostu i wagi około 70 kilogramów, przy najmniejszej pracy fizycznej spala na dobę około 2443 kaloryj, podczas spokoju — 2303 kalorie, przy pracy zaś intensywnej — około 3362 kaloryj.

A teraz zobaczmy, co można zjeść bez tak zwanego „przejadania” się. Otóż należy wypić na śniadanie szklankę herbaty lub kawy (można z mlekiem), co stanowi 13 kaloryj, z 50 gr. chleba razowego (117 kaloryj), i 30 gr. bułki (80 kaloryj); przed południem zaś zjeść 200 gr. owoców (100 kaloryj). Na obiad — 200 gr. mięsa (nie wieprzowego i nie tłustego, np. pieczeń — (254 kal.), 200 gr. jarzyn lub sałaty (58 kal.), 80 gr. owoców (41 kal.). Na podwieczorek szklanka kawy (150 gr.), lub herbaty z mlekiem w ilości około 4 łyżeczek (13 kal.). Na kolację: 100 gr. mięsa (127 kal.), 200 gr. jarzyn, albo sałaty (58 kal.), 20 gr. chleba (47 kal.) i szklanka herbaty. Poza tem przed snem można zjeść jeszcze 200 gr. owoców (100 kal.). Wszystko to razem wyniesie zaledwie 1008 kal.

Jak więc widzimy, nawet przy normalnym spożywaniu, kiedy możemy być dostatecznie nasyceni, nie dochodzimy do przepisowej normy kaloryj, gdyż brakuje nam około tysiąca kaloryj, które możemy dopełnić innymi potrawami, pamiętając jednak, by nie przekroczyć niezbędnej ilości.

Zbyt trudne byłoby podawać tu spis wszystkich potraw według kaloryj, dam więc tylko przykład niektórych dodatków, zawierających w sobie 100 kaloryj:

1) POTRAWY MLECZNE, JAJA, SERY, TŁUSZCZE:

160 gr. mleka niezbieranego, 330 gr. mleka zbieranego, 120 gr. twarogu, 60 gr. sera chudego, 40 gr. sera półtłustego, 25 — 30 gr. sera tłustego, 11 gr. tłuszczów jadalnych, oliwy roślinnej, 1½ jaja.

KOSMETYKA CHIRURGICZNA

Korekcja nosa i uszu,
usuwanie fałd, zmarszczek i innych defektów twarzy. Plastyka piersi.

Klinika prywatna.

Dr. med. **Stanisław Michalek**

POZNAŃ

Sew. Mielżyńskiego 21

Prospekty.

Konsultacje: w piątki i soboty.
490

2) POTRAWY MIĘSNE.

90 gr. cielęciny chudej pieczonej, 60 gr. cielęciny tłustej pieczonej, 90 gr. wołowiny chudej, 70 gr. wołowiny średnio-tłustej, 35 gr. wołowiny tłustej, 80 gr. rostbifu chudego, 60 gr. wołowego gulaszu, 70 gr. wieprzowiny chudej, 40 gr. wieprzowiny średniej, 30 gr. wieprzowiny tłustej, 100 gr. zająca, 110 gr. sarniny chudej, 75 gr. wątroby, 90 gr. nerki, 90 gr. mózdzku, 60 gr. kielbasek, 40 gr. szynki chudej bez tłuszczu, 25 gr. szynki gotowanej, 20 gr. słoniny solonej przeraśnialej, 15 gr. słoniny świe-

żej tłustej, 25 gr. kielbasy twardej, 90 gr. kury gotowanej lub pieczonej, 60 gr. kurczęcia pieczonego, 25 gr. gęsi pieczonej,

3) POTRAWY MĄCZNE, STRĄCZKOWE, KARTOFLE:

33 gr. mąki żytniej razowej, 35 gr. mąki pszennej razowej, 28 gr. płatków owsianych, 31 gr. ryżu, 30 gr. makaronu, 37 — 45 gr. bułki, 48 gr. chleba pszennego razowego, 50 gr. chleba żytniego razowego, 27 gr. sucharków, 33 gr. grochu, 38 gr. fasoli, 140 gr. kartofli gotowanych.

4) JARZYNY:

660 gr. kalafjora, 330 gr. fasoli zielonej, 170 gr. groszku zielonego, 1250 gr. sałaty głowiastej, 500 gr. kalarepy, 400 gr. marchwi, 400 gr. brukselki, 660 gr. kapusty czerwonej, 330 gr. buraczków, 660 gr. szpinaku. Ogórki, kapusta kwaszona, pomidory, dynia w dowolnych ilościach.

5) RYBY:

60 gr. śledzi solonych lub marynowanych, 110 gr. śledzi wędzonych, 140 gr. karpia gotowanego, 250 gr. szczupaka, sandacza, pstrąga gotowanego, 45 gr. węgorza, 40 gr. sardynek w oliwie.

6) OWOCE:

250 gr. jabłek, gruszek, śliwek, czereśni, moreli świeżych, 380 gr. pomarańcz, 45 gr. moreli suszonych, 110 gr. bananów bez łupin, 500 gr. poziomek, borówek, malin, agrestu, 45 gr. rodzynek, 45 gr. kasztanów, 170 gr. winogron, 42 gr. marmelady, powidel.

7) CUKIER, KAKAO, CZEKOLADA:

26 gr. cukru, 33 gr. miodu, 25 gr. kakao, 22 gr. czekolady.

8) NAPOJE:

150 — 200 cm. (szklanka) piwa zwykłego, 100 cm. piwa ciężkiego, 180 cm. wina białego, 160 cm. wina czerwonego, 120 cm. malagi, 280 cm. jablecznika.

Nie można wyliczać wszystkich potraw, ale powyżej przytoczone mogą stanowić wytyczną.

Wogóle w metodach obchudzania powinno się zachować normę w jedzeniu i nie przesadzać w głodowaniu, gdyż możemy spowodować nieobliczalne szkody dla organizmu, a chwilowe zeszczuplenie nastąpić może kosztem zdrowia.

Mamy zresztą do rozporządzenia dużo innych sposobów, nietylko nieszkodliwych, ale nawet i nieprzykrych w stosowaniu. Ale o tem w następnej pogadance.

Dr. med. Zofja Rostkowska.

BULWY

Zdaje się, że zupełnie na czasie będzie w tym roku zwrócenie uwagi i zwiększenie zainteresowania plantacją bulw, szczególnie na ziemiach lżejszych. Wszak jest to jedna z niewielu roślin, która, mało wymagając dla siebie, obdarowuje nas prawdziwym bogactwem. Bulwa nie obawia się ani suszy, ani mrozu, ani rozlicznych chorób, trapiących inne rośliny. Raz do gruntu wprowadzona, przez lat parę będzie nam dawała swe plony, bez specjalnej, corocznej nowej obróbki pola. Największe jednak usługi oddaje nam zimą, użyta na paszę dla bydła.

Jak już wyżej wspomniałam, nie obawia się zupełnie mrozu, to też jesienią, gdy roboty idą w przyspieszonym tempie i gospodarze starają się jak najprędzej uciec z pola z resztą okopowych, bulwa może spokojnie pozostać w ziemi (tam, gdzie wyrosła), aż het, na zimę, a jeszcze lepiej do samej wiosny.

Potrzebną ilość na paszę wybiera się codziennie, większe zaś zapasy robić trzeba dopiero wtedy, gdy ziemia już na dobre marznie i kopanie staje się uciążliwe. Bulwy, przeznaczone do zimowego skarmienia i złożone czy to w kopcu, czy w piwnicy, muszą być warstwami obficie słomą przekładane, gdyż psują się znacznie łatwiej od ziemniaków.

Wartość odżywcza bulw przewyższa inne okopowe: 10 kg. bulw zastępuje 18 kg. marchwi, 26 kg. buraków i 34 kg. rzepy (każde wzięte z osobna, naturalnie); tylko z ziemniakami rzecz ma się odwrotnie, gdyż wartość 8½ kg. ziemniaków = 10 kg. bulw.

Ziemia, przeznaczona pod plantację bulw, musi być wyjęta z ogólnego płodozmianu, gdyż raz na ten cel przeznaczona, pozostanie już przez szereg lat pod tą uprawą. Prof. J. Becker z Lipska twierdzi, że bulwy pozostawać mogą na jednym miejscu przez lat 20; nie trafia mi to do przekonania, ale z taką wybitną siłą fachową, jaką jest prof. B., spierać się nie mogę; zresztą, dłuższa praktyka sama wykaże, czy to jest możliwe; narazie chodzi nam nie o długotrwałość takiej plantacji, a o samo jej założenie. Każda ziemia, na której udają się ziemniaki, jest odpowiednia pod plantację bulw, byleby nie była za wilgotna. Nawet zupełnie sucha, piaszczysta gleba w średnio wilgotnym roku może wydać zadowalniające rezultaty.

Przygotowanie gleby jest zupełnie takie, jak pod kartofle, na polu uprzednio silnie nawiezionem. Sadzenie również takie samo: za pługiem lub pod motykę; odległość między rzędami — 60 cm., rośliny jednej od drugiej — 30—50 cm., nie głębiej nad 8 cm. Mając do dyspozycji niewielką ilość kłębów, można je krajać na części, uważając, aby każda z nich miała całe, zdrowe, nieuszkodzone oczko; lepiej jednak brać mniejsze kłęby i sadzić je w całości. O ile byłyby nadwiednięte, dobrze będzie przed sadzeniem zanurzyć je w wodzie, lub wodą przelać. Raz zasadzone pole starczy na 3—5 lat; po tym terminie nasienie trzeba odnowić. O ile mamy do czynienia z polem zachwaszczonem, trzeba je po zasadzeniu parę razy zbronować, a gdy się już roślinki bulw ukażą na powierzchni i rzędy dokładnie odznaczą, obredlamy je, jak ziemniaki. Pewne uszkodzenie korzeni przy tej czynności bynajmniej nie wpływa źle na rozrost bulw. Młode roślinki długo pozostają w ziemi, nad powierzchnią ukazują się dopiero w końcu maja, nie przeszkadza im to jednak w lipcu już dojść do takiej siły ulistwienia, że o rozwijaniu się koło nich mniejszych roślinek (chwastów) mowy już być nie może.

Więcej, niż dwa razy, roślin się nie obsypuje. Bulwy kwitną dopiero w jesieni, a nasiona ich w naszym klimacie nie dojrzewają.

W braku innej paszy, już późną jesienią możemy się posługiwać bulwami, lepiej jednak jest pozostawić je nietknięte przez zimę aż do wiosny i wtedy dopiero rozpocząć karmienie. Liście bulw oraz cieńsze łęciny są jadalne i również na paszę dla bydła używane; wolno je jednak ścinać dopiero późną jesienią, żeby nie przerwać przedwcześnie wegetacji rośliny. Grube łodygi znakomicie służą do podpałki w piecach. Wydajność roczną bulw z 1 morgi obliczają na 50 do 100 ctm. kłębów, 20—80 ctm. liści oraz 30 ctm. materiału opałowego.

W roku następnym dbać trzeba jedynie o oczyszczanie ziemi z chwastów, aż do czasu, gdy krzewy bulw dostatecznie się rozrosną i same ziemię oceniają tak, że mniejsze od nich roślinki już się rozwinać nie zdołają. Kto chce plon powiększyć, może dodać na 1 morgę 1 ctm. saletry, 1 ctm. tomasówki i 1 ctm. soli potasowej. W obecnych jednak ciężkich latach, gdy wydanie, groszy nawet, sprawia dużą trudność, można sobie dopomóc obornikiem, lub nawozem stajennym, którym się zlekka całą plantację przyprósza.

Na początku wspominałam, że bulwy nie obawiają się żadnych chorób; jest to w dużym stopniu prawdą, istnieje jednak pewien gatunek rdzy (*Puccinia Helianthi*), która czasem występuje w bardzo ostrej formie, a jedynym radykalnym lekarstwem jest przeniesienie hodowli w inne miejsce oraz spalenie wszystkich łęcin.

D....a.

KUCHNIA WIOSENNA

„Drób cały się niesie, jest chudy, twardy, niejadalny. Cielęcina wszystkim obrzydła, patrzeć na nią już nie możemy; barany na przednówku chude, zresztą zostały same maciorki z jagniętami. Lepsze jarzyny już się pokoiły; zwyczajna włoszczyzna tak pachnie piwnicą, że nawet rosół z nią gotowany ma jakiś nieprzyjemny, stęchły zapach. Owoce dawno skończone, mam jeszcze tylko nieduży zapas Wecków i trochę owoców suszonych. Wprost nie wiem, czym mam karmić męża i dzieci. Niech mi Pani dopomóż i da jakie pomysły dla urozmaicenia jadłospisów. Do miasta daleko, zresztą w tym roku ziemianie są zmuszeni do jaknajwiększej oszczędności, i chciałabym, mając własne gospodarstwo, oprócz towarów kolonialnych nic nie kupować!...”.

Ten wyjątek z listu jednej z moich miłych korespondentek zasmucił mnie bardzo, gdyż dowodzi dużego braku pomysowości tego autorki.

Że drób niewiele wart na wiosnę, to pewne; lecz przy większym gospodarstwie zawsze się znajdzie jakaś kura tak tłusta, że się już nie niesie, więc mamy rosół i potrawkę, lub zgoła kotlety. W czasie lęgów kasuje się zbyt liczne koguty i kaczory, które po odpowiednim skruszeniu, jeśli nie piec, to przynajmniej dusić można. Cielęcina jest mięsem dosyć mdłym i prędko się przykrzącem, temu nikt nie zaprzeczy; lecz są przeróżne sposoby nadania jej smaku. Sosy o wyraźnym smaku, jak pomidorowy lub pieczarkowy, podawanie jej na grzankach lub we francuskim, listkowym cieście; różne z niej zapiekanki, forszmaki, kulebiaki; różne potrawy z dróbek cielęcych: nóżek,

główek, wątróbek, mózdków, cynaderek — można tak urozmaicić, że w ciągu trzech tygodni, a nawet miesiąca, to samo danie na stół nie wróci.

Najbogatszą jednak kopalnią wszelkiego rodzaju dań smacznych, posilnych i łatwych do wykonania, są jaja. Samych tylko omletów zwykłych i francuskich można zrobić kilkadziesiąt gatunków, nadziewając je coraz to innymi kombinacjami: szynki, ozora, grzybków suszonych, makaronu, szpinaku, sera, pieczarek, cynaderek, mózdków, resztek pieczeni lub potrawki i t. p. A różne jaja faszerowane, na gorąco i na zimno, oraz pokrewne im kotlety z jaj. Na wszystkie te dania można z powodzeniem używać nie tylko jaj kurzych, lecz i indyczych, kaczych i gęsi, których często na wiosnę jest więcej, niż trzeba, a zbytu na nie stałego, jak na jaja kurze, niema. Szczególniej smaczne są wszelkie jaja na zimno: w galarecie, w majonezie, w sosie chrzanowym ze śmietaną lub w musztardowym. I gorące sosy mogą też podnieść i urozmaicić smak jaj sadzonych, w koszulkach, poszetowych i na twardo. Gorące sosy — chrzanowy, pomidorowy i pieczarkowy — mogą być użyte do każdego rodzaju jaj. Nawet wprost można je spuszczać do wrzącego sosu pomidorowego, śmietankowego, do śmietany z octem i t. p. Po ugotowaniu w takim sosie są o wiele smaczniejsze, niż sadzone na maśle i dopiero potem sosem zalane.

Wobec konieczności wprowadzenia do jadłospisu jaknajwiększej ilości dań jarskich, należy sobie przypomnieć, że ze starych kartofli można robić dania, przypominające najlepsze, młode kartofelki. Kartofle obrane należy namoczyć na dwadzieścia cztery godziny w zimnej wodzie, następnie wydrążyć z nich specjalną łyżeczką kulki, ugotować w bardzo dużej ilości wody, odlać, polać młodem masłem, posypać koperkiem lub pietruszeczką, — nie należy ich tylko przegotowywać.

Młoda pokrzywa — pierwsza zielenina, która dziko się ukazuje na wiosnę — daje wyborny materiał na zupę w rodzaju szczawiowej i na jarzynkę w rodzaju szpinaku. Można też do niej dodać listki rzodkiewek inspektowych, zwykle marnowane; są one nie tylko smaczne, lecz i dają ładny kolor nieco szarawej jarzynie z pokrzywy.

Z jarzyn jesiennych, pory, które zwykle zimuja na grzędach, należy po pierwszych dniach słonecznych przenieść do piwnicy, aby zbyt prędko nie wypuściły łodygi kwiatowej. Takie pory, odgotowane, jak szparagi, i jak szparagi podane z maselkiem i z bułeczką, lub z sosem holenderskim, czy zapieczone pod beszamelem, są wyborną, delikatną jarzyną, nie mającą ostrego, cebulowego zapachu, cechującego je jesienią.

Duże selery mają swój własny zapach i nie nabierają stęchłego, piwnicznego, jak marchew, włoska kapusta i t. p. Można z nich robić nie tylko sałatę, lecz podawać odgotowane na grzankach z sosem holenderskim lub białym śmietankowym, zaprawionym żółtkami (*sauce poulette*).

Buraczki ćwikłowe też nic nie zmieniły smaku i można je stosować do różnych potraw, przy czym zaznaczam, że oprócz znanego sposobu duszenia ich w śmietanie ze słoninką, jadłam je we Włoszech przyrządzone, jak wszystkie inne jarzyny, czyli ugotowane w płatkach i zmieszane ze świeżym masłem — smakowały wybornie.

Młody szczaw nadaje się nie tylko na zupę; w połączeniu ze szpinakiem lub z pokrzywą stanowi smaczną, nieco kwaskową, orzeźwiającą jarzynkę.

Jeśli jest zbyt dużo różowej lub białej rzodkiewki, a za dużo na nią korzystnego nie ma, można ją po obraniu ze skórki dusić w maśle, jak młodą kalarepkę; jest bardzo smaczna.

Grube lodygi rabarbaru, pokrajane w duże kawałki i uduszone w sosie przy pieczeniu wołowej, wieprzowej, a nawet cielęcej, stanowią duże urozmaicenie.

Już to wogóle z chwilą, gdy mamy w ogrodzie rabarbaru, dużo kłopotów spada z głowy gospodyni. Kompoty, kisielki, tartetki i kruche ciastka, przekładane rabarbarem, smakują nawet lepiej od jabłeczek.

Nakoniec na wiosnę ma się tyle nabiału, śmietany i śmietanki, świeżego twarogu, że przyrządzanie smacznych legumin nie przedstawia żadnej trudności. Brak owoców świeżych zastąpi nam w rozmaity sposób przyrządzona zielona sałata, pełna życiodajnych witamin.

Już nie mówię o szparagach — najsmaczniejszej (niestety, krótkotrwałej) jarzynie — które właśnie wczesną wiosną, zanim nastaną duże upały, są najdelikatniejsze.

Nie, stanowczo, moje kochane korespondentki, zamieszkałe u siebie na wsi, mogą mieć rozliczne inne kłopoty, połączone z niepomyślną konjunkturą gospodarczą, lecz na trudności w odżywianiu rodziny skarżyć się nie mają prawa.

Pani Elżbieta.

TANIE OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(NA 5 OSÓB)

Rosół z kluseczkami.

Mostek cielęcy osmażany, marchewka rumiana.

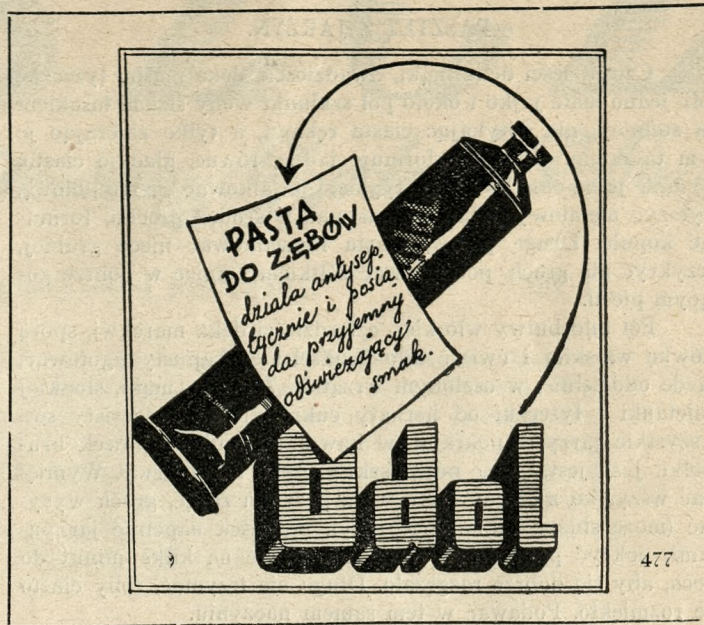
Naleśniki zapiekane z rabarbarem.

Z półtora kilo mostka cielęcego lub łopatki ugotować rosół, dodając, jak zwykle, marchewkę i pietruszkę (inna włoszczyzna zbyteczna). Z jednego jajka, dwóch łyżek wody, pół łyżeczki soli i maki zrobić zwykłe krajane kluseczki, ugotować na osolonej wodzie, odlać na durszlak i włożyć do rosolu przed podaniem.

Mostek po ugotowaniu położyć pod prasę, po uprzednim wyjęciu zeń kości. Gdy ostygnie, pokrajać na ładne, równe kawałki, utarzać w mące, następnie w jajku, na koniec w bułeczce. Usmażyć na rumiano w obficie rozpuszczonym smalcu. Kilo marchwi oskrobanej wrzucić na noc do zimnej wody, aby straciła piwniczny zapach. Pokrajać w dużą, długą kostkę, nawpół obgotować. Wodę odlać, włożyć do marchwi spory kawałek masła i dusić wolno, często potrząsając rondelkiem, aż się ładnie zrumieni, i wydać do smażonego mostka.

Z dwudziestu deka maki i dwóch jaj upiec dziesięć do dwunastu cienkich naleśników. Osiemdziesiąt deka lodyg rabarbarowych oczyścić, pokrajać drobno, zmieszać z dwudziestoma deka cukru. Płaski rondel wysmarować masłem, wysypać bułeczką, włożyć naleśnikami. Kłaść rządami rabarbar i naleśniki. Ostatni musi być naleśnik. Piec około godziny w średnio gorącym piecu. Wyrzucić na półmisek. Podawać z cukrem.

Pani Elżbieta.



PRZEPISY GOSPODARSKIE

JAJA W MUSZELKACH.

Dwadzieścia deka wermiszu drobno polamać, ugotować w osolonym wrzątku, wylać na durszlak, przelać zimną wodą, wymieszać z pięcioma deka masła i pięcioma deka ostrego, tartego sera. Dziesięć muszelek wysmarować masłem, ułożyć na nich wermiszle w taki sposób, aby uformował wokoło wianek, środek pozostawiając pusty. W te puste środki wbić po jednym jajku, posolić, posypać całość tartym serem, ustawić na brytfannie, do połowy napełnionej popiołem lub piaskiem, aby się muszelki nie pochylały i nie przewracały. Wstawić na kwadrans do pieca. Ser powinien się lekko zrumienić. Podawać gorące.

JAJA Z PIECZARKAMI.

Ćwierć kilo młodych pieczarek obetrzeć starannie z ziemi, szybko umyć w zimnej wodzie, obetrzeć ponownie ściereczką, pokrajać w płatki. Przesmażyć w dobrej łyżce masła w naczyniu, w którym jaja mają być na stół podane. Można też z pieczarkami przesmażyć drobno pokrajaną cebulę. Pieczarki i cebulę wyjąć na talerzyk. Do masła, w którym się smażyły, dodać jeszcze łyżkę masła, łyżkę kwaśnej śmietany i szklanek wody. Patelnię zdjąć z ognia. Ostrożnie i równo posadzić na niej dziesięć jaj, lekko je osolić. Gdy się ładnie zetną, posypać przysmażonymi pieczarkami. Obłożyć wokoło ładnie zrumienionymi na maśle grzankami i podawać w tem samym naczyniu.

JAJA W BESZAMELU.

Dziesięć jaj włożyć we wrzącą wodę i gotować równo pięć minut z zegarkiem w rękę. Wyjąć i natychmiast włożyć w zimną wodę, którą kilka razy zmieniać. Gdy zupełnie ostygną, obrać z łupinek. Białko w nich powinno być twarde, a żółtko zupełnie miękkie. Są to tak zwane „oeufs mollets“. Z dużej łyżki maki, takież łyżki masła i trzech do czterech szklanek mleka zrobić gęsty sos beszamelowy i ostudzić go zupełnie. Do chłodnego beszamelu wbić dwa jaja całe, wsypać garść ostrego, tartego sera, wlać parę łyżek mocnego buljonu (kostkę buljonową, wymoczoną w rosolu lub wodzie). Półmisek wysmarować masłem, ułożyć połowę beszamelu, na nim jaja, pokryć resztą beszamelu, posypać grubo tartym serem. Wstawić na kwadrans do gorącego pieca. Gdy się ser zrumieni, natychmiast podawać, aby beszamel nie opadł.



PASZTET Z JARZYN.

Czterdzieści deka mąki, dwadzieścia deka masła, łyżeczkę soli, jedno małe jajko i około pół szklanki wody siekać tasakiem na stolnicy, nie dotykając ciasta rękami, a tylko zbierając je tym tasakiem. Gdy się uformuje ładne, równe, gładkie ciasto, wynieść je na chłód. Gdy zastygnie, rozwałkować cienko połowę, wyłożyć metalowy półmisek, nasypać w środek grochu, formując kopułę. Drugą połowę ciasta rozwałkować nieco grubiej, przykryć nią groch, posmarować żółtkiem i upiec w dobrze nagrzanym piecu.

Pół kilo bulwy włoskiej, czterdzieści deka marchwi, sporą główkę włoskiej i ćwierć kilo brukselskiej kapusty ugotować, każde oddzielnie, w osolonym wrzątku. Z masła, mąki, słodkiej śmietanki i łyżeczki od herbaty cukru zrobić zawieszisty sos. Wszystkie jarzyny pokrajać w kawałki rozmiaru główek brukselki. Jeśli jest, dodać pół puszki groszku z konserwy. Wymieszać wszystko z sosem. Pokrywać z pasztetu zdjąć, groch wysypać (może służyć kilkanaście razy), półmisek napęlić jarzynkami, pokryć pokrywą z ciasta i wstawić na kilka minut do pieca, aby się dobrze rozgrzało. Długo nie trzymać, żeby ciasto nie rozmiękło. Podawać w tem samym naczyniu.

GRZYBY SUSZONE, NADZIEWANE.

Dziesięć dużych, zdrowych grzybów suszonych odgotować, ułożyć na stolnicy, przycisnąć deseczką i ciężarkiem, aby po ostygnięciu były zupełnie płaskie. Korzonki od nich i kilka mniejszych grzybków, razem ugotowanych, usiekać drobno. Przesmażyć z masłem drobno usiekaną cebulę, dodać grzybki siekane, przesmażyć jeszcze razem, wbić duże jajko i tyle tartej bułeczki, aby się masa trzymała. Na każdym grzybku położyć kupkę tej masy. Ułożyć grzyby na patelni na rozpuszczone masło, polać kwaśną śmietaną i upiec w piecyku; przełożyć grzyby na półmisek, obłożyć kartoflanem purée, lub odgotowanym makaronem. Na patelnię wlać parę łyżek wody i tyleż śmietany, zagotować i sos ten wylać na purée lub makaron.

RYŻ NA ZIMNO Z POMARAŃCZAMI.

Szklankę najlepszego, karolińskiego ryżu ugotować na wodzie. Obetrzeć kilku kawałkami cukru skórkę z trzech pomarańczy. Cukier ten utłuc i zmieszać z ryżem, dodając tyle czystego cukru, aby ryż był dobrze słodki. Pomarańcze obrać ze skórki, pokrajać w plastry, ziarenka odrzucić. Foremkę kremową wylać zimną wodą, wysypać cukrem, układać w niej rzędami ryż i pomarańcze, mocno uciskając po brzegach. Wynieść na kilka godzin na chłód. Przed podaniem wyrzucić na półmisek. Polać syropem pomarańczowym, lub sosem śmietankowym, aromatyzowanym skórką pomarańczową.

STAROŚWIECKI „ARKAS”.

Litr gęstej, młodej śmietany ubić miotłką, jak na krem. Wsypać w to piętnaście deka cukru utłuczonego z wanilią, wlać łyżkę wody różanej i łyżkę wody z pomarańczowego kwiatu. Serwetę wyparzyć mocno wrzątkiem, potem wypłókać zimną wodą. Przełożyć do niej śmietanę, związać sznurkiem, powiesić na noc w lodowni, aby serwatka ściekła, a legumina stężała. Nazajutrz ostrożnie wyłożyć na półmisek, ubrać różnymi konfiturami (najlepiej ananasem lub melonem smażonym), polać syropem i bardzo zimne podawać.

Pani Elżbieta.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

Arend: Kurs elementarny języka angielskiego.

Conscience: „Lew z Flandrii”.

Dyakowski: „O trzęsieniach ziemi”.

Dobrowolski: „Amundsen”.

Domaniewski: „Ptaki naszych lasów” — cz. I i II.

— : „Ptaki naszych gór”.

Gayónna: „Dobroczynca ludzkości”.

Grotowska: „Zwierzęta juczne i pociągowe” — cz. I i II.

Kozłowska: „Egipt darem Nilu”.

Marciszewska-Posadzowa: „Instrukcje”...

Program nauki rachunków.

Sadzewiczowa: „Słońce”.

Sikorski: „Gry i zabawy ruchowe”.

Schmidt-Pauli: „Ukochane dziecię świata”.

Viewegerowa: „Z życia ryb”.

Zawrocki: „Hazena”.

Żulińska: „Hosanna”.

KORESPONDENCJE

ODPOWIEDZI DZIAŁU KOSMETYCZNEGO.

Pani Eugenji Minchowej w Rybinie. — Rozszerzone żyłki, o które zapytuje Szan. Pani, mogą być wywołane różnymi przyczynami i nie są bynajmniej objawem starości. Zazwyczaj zjawiają się one u osób w wieku 30 — 40 lat. W leczeniu należy zwrócić uwagę przede wszystkim na niedomogi żołądka, kiszek, wątroby, serca, na cierpienia słuszki nosa i t. p. W wielu wypadkach daje się zauważyć skłonność dziedziczna. Jako bezpośrednią przyczynę należy uważać nerwicę naczyniową.

Miejscowo stosować można w ciągu 15 dni (według prof. Unny): glinki czerwonej 0,25 gr., glinki białej 1,25 gr., węgla magnezji 2 gr., tlenku cynku 2,5 gr., krochmalu ryżowego 4 gr., siarki osadzonej i ichtjolu po 1 gr., pamiętając o tem, że gdyby wystąpiło małe podrażnienie, należy powyższy krem rozcieńczyć pastą cynkową w stosunku 1 : 2.

O ile żyłki są dość wyraźne, należy zniszczyć je elektrolyzą. Zabieg ten musi być wykonany przez lekarza-specjalistę, w przeciwnym bowiem razie może pozostawić większe lub mniejsze blizny.

Rozszerzenie żyłek i czerwoność może być pierwszą fazą tak zwanego trądzika różowatego.

DROBNE OGŁOSZENIA

AKUSZERKA HAHN udziela porad paniom miejscowym i przyjeźdnym. Hoża 1a m. 4, tel. 8-53-03.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy”. Rymska 8, tel. 244-18.